



# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

**w objętości jednego tomu.**



## WARUNKI PRENUMERATY

*we Lwowie i całym Państwie Austryackim*

Rocznie . . (52 tomy) . . .	złr. 14
Półrocznie . (26 tomów) . .	" 7
Kwartalnie (13 tomów) . . .	" 3 cent. 50
Miesięcznie (4—5 tomów) . .	" 1 " 20

**Cena każdego tomu 30 cent.**



**REDAKTOR I WYDAWCA**

*Franc. Jul. Granowski.*



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefona 1670  
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

---

Drukarnia A. T. Jesierskiego, Nowy-Świat 47.

af. 591  
BIBLIOTEKA CZIEŁ WYBOROWYCH. 1374

№ 189.

# W BIURZE TELEGRAFICZNEM

(In libro della fanciulla)

MATYLDY SERAO

przełożyła  
z włoskiego

CECYLIA G.



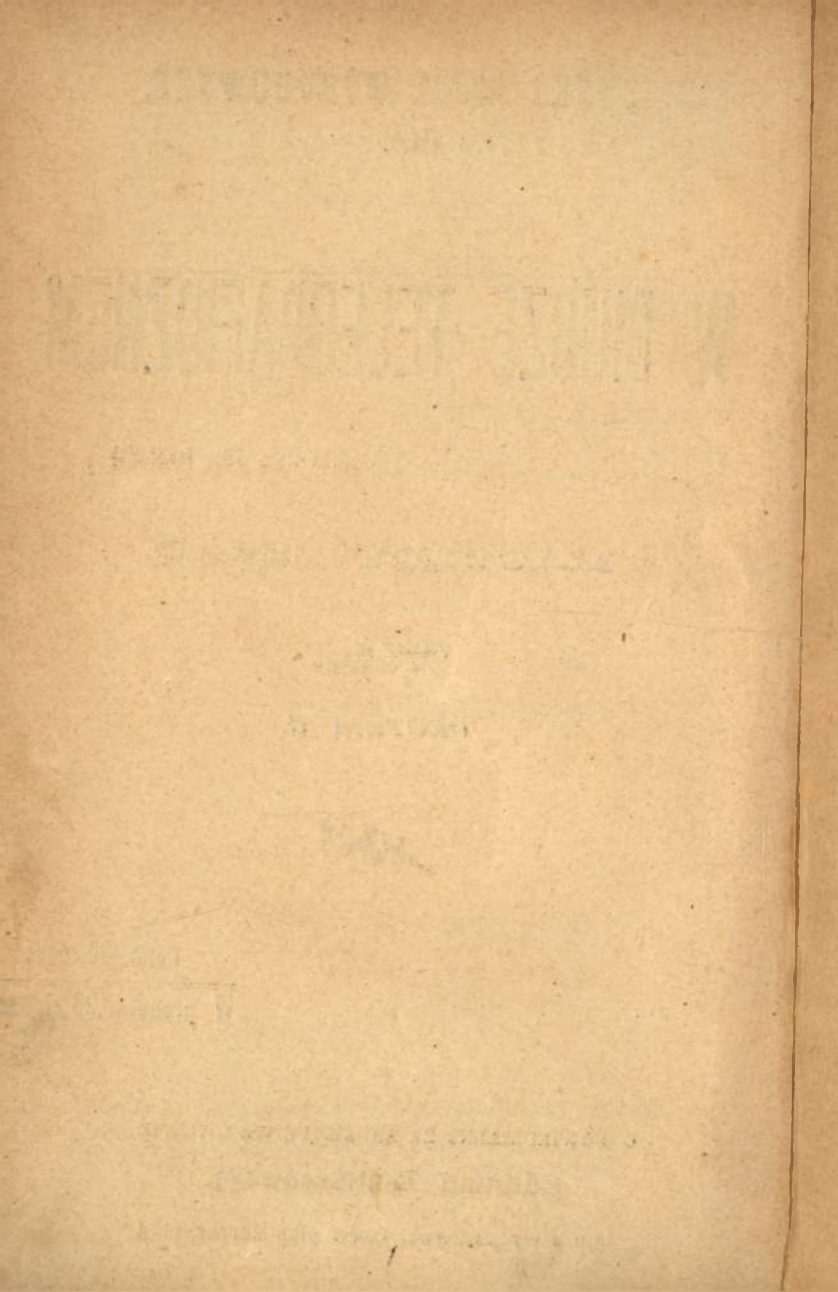
Cena 30 cent.

W prenum. 26<sup>2</sup>/<sub>10</sub> cent.

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYJĘ WE LWOWIE

**Edmund Kolbuszowski.**

Adres wydawnictwa: Lwów, plac Maryacki l. 4.



PISMA MATYLDY SERAO.



1000171921

Matylda Serao.

# W BIURZE TELEGRAFICZNEM

*(In libro della fanciulla).*

*przełożyła z włoskiego*

Cecylia G.

W biurze telegraficznem. —  
Za zakonnice. — Wśród lawy. —  
Nigdy już.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

5

A-20741

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 20 Іюня 1901 г.

Liter 13d



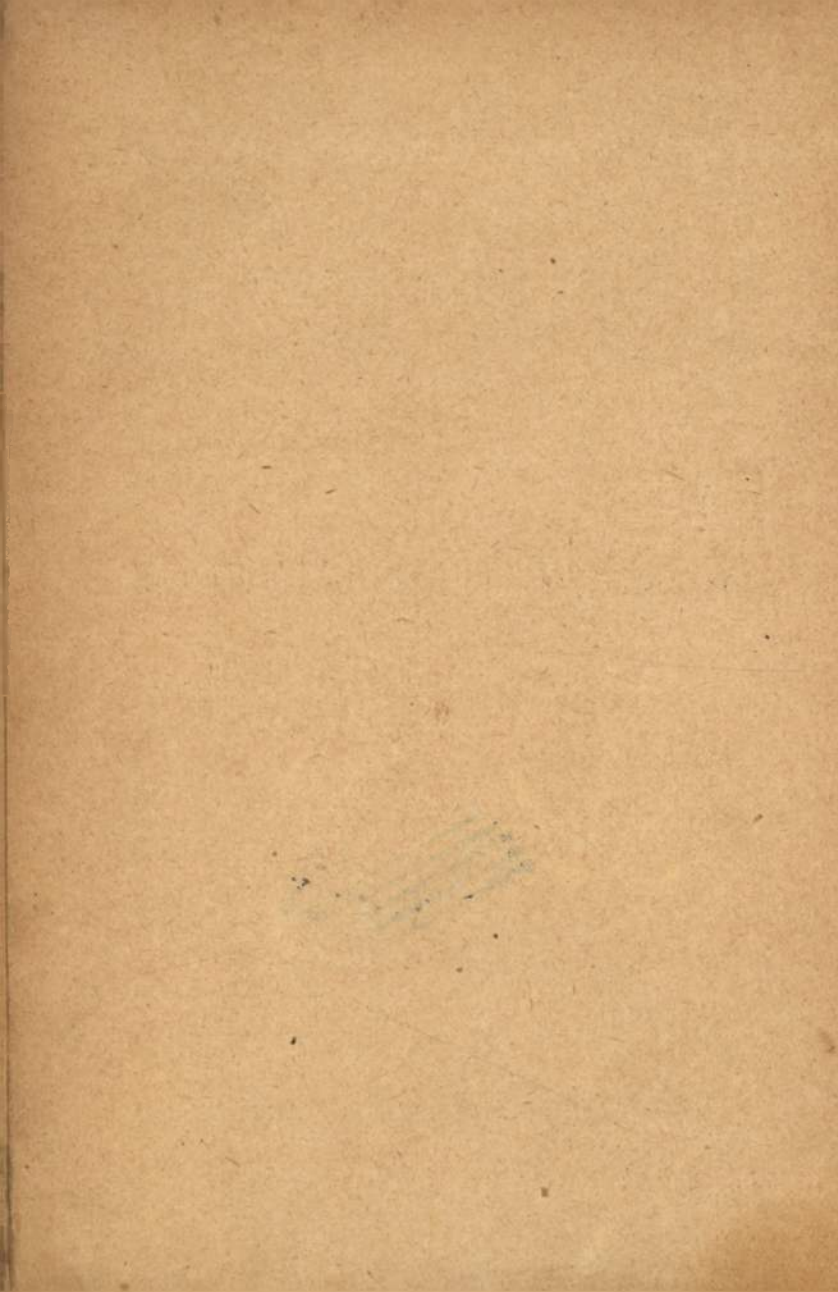
BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUDOVICIANA

K. 1160/56/994



W BIURZE TELEGRAFICZNEM.





## I.

Gdy Marya Vitale zamknęła za sobą drzwi mieszkania, owionął ją chłód poranku zimowego.

Różowe jeszcze ze snu policzki zbladły. Młode, pulchne ciało wstrząsnęło się dreszczem pod osłoną czarnej sukienki. Okryła się szczerzej szafirowym szalem wełnianym, który miał zastępować paltocik.

Żywa dusza nie przechodziła jeszcze ulicą. Sklepy były pozamykane. Jasne, perłowe światło rozlewało się po starych murach, po szybach, okrytych szronem, po uliczkach i brudnych zaułkach. Niebo miało zimną przejrzystość i zabarwienie metaliczne zorzcy zimowej.

Marya Vitale w miarę, jak szła, zdziwiona ciszą i milczeniem, pograżała się w nieokreślony niepokój.

— Zawcześnie wyszłam — pomyślała.

Tupnęła nogą z gniewem. Nie mieli zegarw domu, a musiała być w biurze na pięć minut przep siódmą. To też codzien powtarzało się to samo. Matarka zrywała się szybko i z sąsiedniego pokoju wołała:

— Maniu!

— Co?

— Wstań, już czas!

Marya zasypiała nanowo, zdrowym, spokojnym

snem młodości. Po pięciu minutach matka ponawiała głośniejsze wołanie:

— Słyszałam, mamó, słyszałam. Już wstaję.

Ale gdy sen zwyciężał i rzucał na łóżko tę zdrową dziewczynę, matka milkła, pokonana.

Teraz mieszał się ojciec, stolarz. Mówił grubym głosem:

— Marietka, wstań, bo zapłacisz karę.

Wtedy przemagała się; zrywała jednym skokiem, nie śmiąc spojrzeć na łóżko, aby jej znów nie napadła chętka położenia się obok swej siostry, Serafiny.

Wychodziła cichutko, w kaftaniku i spódniczce, aby nie zbudzić braciszków: Karolka i Jasia, którzy spali w tym samym pokoju, za parawanem. Myła się w kuchni. Zamiast kawy, której nie pijano w domu, zjadała owoc, pozostały z wczorajszej wieczerzy, przegryzała kawałkiem chleba i ubierała się bardzo szybko.

Pomimo pośpiechu jednak, cztery, czy pięć razy przyszła do biura po siódmej, bo nie miała zegara. Dyrektorka zaznaczyła spóźnienie to w księdze i Marya Vitale zapłaciła lira tytułem kary.

Z dziewięćdziesięciu przeto lirów, jakie pobierała miesięcznie, zostawało po odtrąceniu sześciu na kasę emerytalną i kilku za karę, zaledwie osiemdziesiąt. To też codzień drżała ze strachu i nieraz wychodziła zawczasie.

— Która też może być godzina?—myślała.

Na rogu spotkała przekupnia, rozwożącego kawę w wózku, trzymającego parę filiżanek na palcach.

— Mój panie, która godzina?

— Wpół do szóstej, panienko. Może szklanczkę?

— Nie, dziękuję, nie pijam.

Godzina pozostawała, cała godzina. Wyszła o go-

dzinę wcześniej. Łzy stanęły jej w oczach. Z przykrością myślała o straconym czasie snu; dziecinna, naiwna boleść rosła w jej sercu i szła ku ustom, jakby jej wyrządzono wielką jakąś niesprawiedliwość, jak wtedy, kiedy była mała i bito ją za nie własną winę.

Co robić z tą godziną?

O, jakże chętnie wróciłaby do domu, do ciepłego łóżka, zakopała się w poduszkach, pod kołdrą i zasnęła!

Napróżno! Wyszła zawczasie, nic jej nie wróci godziny straconego snu. Gdzie iść? Chłodny wiatr podnosił tumany kurzu z niezamiecionego jeszcze placu i rzucał je w twarz. Nie może kręcić się sama o tej porze, jak waryatka, pomiędzy przekupuiami owoców, którzy ciągnęli od ogrodów ku głównym ulicom Neapolu, i wozami ze śmieciem.

Zajść po Assuntę Capparelli, mieszkającą na Ventaglieri? Assunta miała dyżur po południu dnia tego, nie potrzebuje zrywać się tak wcześnie. Śpi sobie teraz w najlepsze, szczęśliwa!

Wziąć Katarzynę Borelli, mieszkającą na Pignasecca? Eh! Katarzyna, to śpioch zawołany. Wstaje o trzy na siódmą, ubiera się w pięć minut i przybiega do biura zdyszana, czerwona, w kapeluszu na bakier, z rozplatającym się warkoczem, z przekrzywioną krawatką, odpowiadając żywo na wezwanie:

— Jestem!

Wszystkie, wszystkie śpią jeszcze, szczęśliwie!

Gorycz wzrastała w duszy dobrej Maryi Vitale. Zdawało jej się, że jest sama, samiutka jedna na szerokim świecie, skazana na wieczne zimno i niewyspanie, gdy inne spoczywają w ciepłe i spokoju.

Schyliła głowę z rezygnacją i weszła machinalnie do kościoła, jakby szukając ucieczki.

Półmrok świątyni, powietrze wilgotne i łagodne

uspokoili ją nagle. Usiadła w ławce, opierając głowę na poręczy poprzedniej.

Modliła się pocichu, odmawiając trzy „Ojcze nasz,” trzy „Zdrowaś,” trzy *Requiem*, jak należy, gdy się wchodzi do kościoła, kiedy niema nabożeństwa. potem poleciła Bogu duszę babki, zmarłej przed rokiem, zdrowie mamy, ojca, wymieniła braci, siostry, rodziców chrzestnych, przełożonych, podróżnych na morzu podczas burzy, dusze opuszczone. Dla siebie nie prosiła o nic. W tem odrętwieniu fizycznem nie doświadczała żadnego życzenia moralnego, ani osobistego. Nic w duszy jej nie rysowało się jako potrzeba. Jedynie pragnęłaby niejasno prosić Matki Boskiej, aby jej pozwoliła spać rano, choćby do dziewiątej. Niewysłowione szczęście, którego nigdy nie zaznała.

Pomału sen spływał od głowy na całe ciało i ogarnął je sobą. Zasnęła z twarzą opartą na dłoniach, z kapeluszem zsuniętym na oczy, z nieruchomymi nogami i zgiętą figurą. Słyszała niejasno kroki zakrystyana, stuk ławek, zamiatanie posadzki. Naraz głos jakiś szepnął jej do ucha:

— Vitale! Śpisz, czy płaczesz?

— Wstaję, mamol—wybełkotała Marya, otwierając oczy.

Giulieta Scarano, dziewczeczka o pięknych kasztanowatych włosach, małej główce na tęgiej postaci, o oczach jasnych i zawsze w ekstazie, uśmiechała się do niej, patrząc na główny ołtarz, gdzie Duch Święty błyszczał w aureoli złotej.

— Zdrzemnęłam się. Czy i ty wyszłaś z domu zawczasie?

— Nie, akurat. Wstępuję zawsze do kościoła, przechodząc.

— Idziemy?

— Tak, tak, już czas.

Wyszły.

Marya Vitale miała dreszcze i mrówkowanie w nogach. Julia Scarano szła, jak lunatyczka, w milczeniu.

— Co tobie?—zapytała Marya.

— Nic—odparła tamta z melancholią i tłumionem łkaniem w młodzieńczym głosie.

— Zawsze Mimi, co? — nalegała Marya swoim rozsądnym, współczującym tonem.

— Zawsze.

— Stracisz zdrowie.

— A niech tam!

— Nie mów tak! Oh, jakaż to szkaradna rzecz miłość. Nigdy nie chciałam się dlatego kochać!

— Zawsze się tak mówi, jak się nie kocha... Mimi jest chory, a ja nie mogę go widzieć i czuję, że umieram! — wyłkała Julia, nie mogąc się już powstrzymać.

— Oh, biedny, biedny!... Miejmy nadzieję, że mu nic nie będzie!—szepnęła Marya, zasmucona nagle.

Szły dalej. Giuletta pogrążyła się w swem strapieniu miłosnem, Marya rozmyślała o cierpieniach ludzkich. Zapewne, nie jest taka mądra, jak Katarzyna Borelli, która ciągle pisze powieść w grubym kajecie; nie umie układać wierszy, jak Pasqualina Morra, ale rozumie, że miłość—to cierpienie.

-- Nie mogę go widzieć!...—powtórzyła Julia.

— Napisz list.

— Już pisałam trzy, każdy na czterech stronkach, ale nie wiem, jak posłać. Mama wypędziła Karolinę, była dobrą służącą, bo pomagała mi...

— Poczta.

— Nie mam pieniędzy na markę, a bez marki wstydę się posłać. Może Galante, służąca z biura mi pomoże...

Były przed pałacem Gravina, surowym, szarym pałacem, o bardzo prostej architekturze. Wydawał się

i był istotnie bardzo stary. Musiał patrzeć na wiele rzeczy smutnych i wesołych, zakłęb miłosnych i spisków, ambicyi, słodkich uczuć i dzikich namiętności ludzkich, przewijających się pod jego murami.

Teraz pokoje jego, zamknięte nad ulicą, otwierały się dla publiczności pod portykiem; i służyły za biura pocztowe.

Dokoła wysokich i szerokich okien błyszcząły izolatory porcelanowe, od których rozbiegały się na wszystkie cztery strony świata nici telegraficzne. W środku, na balkonie, za wielkim napisem metalowym: Biuro Telegraficzne, stał mężczyzna, paląc cygaro i patrząc w niebo poranne.

— Kto to?—spytała Marya.

— Ignacy Montanaro. Będzie tej nocy na służbie.

Na szerokich schodach dogoniła je Krystyna Juliano i kiwnęła głową, nie zatrzymując się. Wyglądała, jak mężczyzna przebrany za kobietę. Figurę miała bezkształtną, ramiona za szerokie, biust za długi, ręce wielkie, nogi ogromne. Nosiła jeszcze letni kapelusz z białej słomy, zsunięty na czoło, aby nie wzbudzać przestachu w ludziach białem, groźnem okiem i aby odsłonić cudowną obfitość czarnych włosów i przepyszne warkocze, obciążające jej głowę.

— Antypatyczna jest dla mnie ta Juliano!—rzekła Marya.

— Niezła w gruncie—odparła Scarano z pobłażliwością dusz zakochanych.

Na górze przyłączyła się do nich Adelina Marko.

— Jak zimno!—rzekła swym miękkim, przejmującym głosem.

Dotykała końcami palców jasnych, sfalowanych włosów, które wiatr rozrzucił. Wiatr ten zabarwił delikatną, piękną twarzyczkę o ślicznych ustach.

Zręczna, wysmukła figurka osiemnastoletniej blondynki ładnie rysowała się w eleganckim, ciemno-zie-



lonym paltociku. Białe pióro na zielonym, filcowym kapeluszu dawało jej pozór młodej amazonki, arystokratki angielskiej, siadającej na konia.

Nie była biedną, ani prostytutką. Była jedną z dwóch, czy trzech szczęśliwych panien, pracujących na stroje i zbytki. Gdy wchodziła do biura z łagodnym uśmiechem, rytmicznym krokiem, w eleganckich sukniach, roznosząc zapach perfum, wydawała się księżniczką, która raczy zwiedzać dom pracy, dobrą i ludzką następczynią tronu, której spodobało się dzień jeden spędzić między skromnymi telegrafistkami.

Mówiły jeszcze o zimnie, stanawszy przed biało malowanymi drzwiami, na których był napis:

*Sekcja żeńska.*

Otworzyła im Gaetanina Galante, służąca, o żółtej twarzy złośliwego lisa.

— Czy przyszła dyrektorka? — zapytały wszystkie trzy chórem.

— Gdzie tam, jest jeszcze na mszy!

Odetchnęły. Lepiej było zawsze stawić się przed dyrektorką, aby okazać gorliwość i miłość pracy.

Gdy wchodziły do ciemnego przedpokoju, biurokracya ogarniała ich dusze. Frazesy oficjalne, krótkie, suche krążyły na ustach. Telegrafistki, przybyłe wcześniej, siedziały lub stały przy oknie, chcąc zaczerpnąć światła. Mówiono tylko o liniach, o zdarzeniach. Zniżały głos instynktownie.

Jedyne okno wychodziło na wązki zaułek. Ciemności przedpokoju powiększała jeszcze ogromna szafa, w której telegrafistki zawieszwały kapelusze, parasolki, okrycia, biedniejsze chowały śniadania, przyniesione z domu; bogatsze szydełko lub haft; uczone lub romansowe — książki. Na środku stał wielki stół, pod ścianą kanapa. Więcej mebli nie było.

Na wolnych miejscach w ścianach, w czarnych, drewnianych ramach, bez szkielek, wisiały: wykaz alfabetyczny telegrafistek, regulamin wewnętrzny, ostatni edykt dyrekcyi, mapa geograficzna i telegraficzna Włoch. Nikt nie czytał tych druków zakurzonych, popstrzonych przez muchy.

Natomiast wszystkie interesował arkusz papieru, przechodzący z rąk do rąk i wyznaczający każdej miejsce dnia tego. Dyrektorka okrąglem swem pismem umieszczała numer porządkowy linii obok nazwiska telegrafistki.

Zaledwie weszły, każda szukała tego arkusza, nie zdążywszy się rozebrać. A ponieważ były linie złe i dobre, pełne pracy i bez pracy, linie, wymagające wielkiej cierpliwości i linie dogodne dla niedbałych—więc okrzyki wznosiły się co chwila.

— Prawda, że nie umiem odbierać jak się należy — mruzczała Marya Vitale — ale co dwa dni być przy Castellamare, to już zanadto. Pięćdziesiąt telegramów, co najwyżej. Nigdy się nie nauczę w ten sposób.

— Powinnaś Bogu dziękować! — odparła Emma Torelli, wysoka, biała blondynka, o akcencie piemonckim. — Chciałabym nie umieć odbierać, tak jak ty. Codzień mi dają Salerno, tę piekielną linię! Dziś robota: będą numery loteryi, wygrane przez salerneńczyków w Neapolu. Sto osiemdziesiąt depeesz, jak nie! Już widzę, jakie nieporozumienia zajdą między mną i korespondentem, jeśli wszystko nie będzie jak się należy!

— Co też do głowy przychodzi dyrektorce nazywać mi Avelino! — wykrzyknęła Ida Torelli, druga siostra. — Nie mogę pracować z tym starym korespondentem! Wyobraź sobie, kochana Marko, mumia siedemdziesięcioletnia, która nie może znieść sekcyi żeńskiej. Pytasz się, nie odpowiada. Po godzinie wzy-

wa cię nagle i telegrafuje jak opętany. Nieznośny, niemożliwy! Można skrócić się ze złości na tej linii.

— Ja mam Genę — odparła Marko głosem, podobnym do śpiewu. To też nie bardzo zabawne. Linia jest tak długa, że prąd idzie zmiennie. Czasem tak mocny, że łączy i zlewa wszystkie znaki, czasem tak słaby, że znaki nie dochodzą. Wzywasz korespondenta, nie słyszy. Wzywa ciebie, ty go nie słyszysz. Czasem przez dziesięć minut idzie dobrze; oddychasz. Ba, w jedenastej linia się psuje. Depesze przybywają. Jest zawsze trzy godziny opóźnienia.

Najbardziej niezadowolone były *hughistki*, t. j. najbiedniejsze telegrafistki, przeznaczone do pracowania na maszynach Hughes'a.

Pracuje się we dwie przy tych skomplikowanych aparatach. Potrzeba ogromnej biegłości i uwagi. To też dyrektorka nigdy nie łączyła w pary dwóch przyjaciółek, aby nie dopuścić pogawędek. Dobierała zawsze jedną mocniejszą i jedną słabszą. W ten sposób nie było sympatii pomiędzy niemi: jedna pogardzała drugą, druga odczuwała pogardę.

Nie użylały się głośno, przez dumę, ale nachmurzone siedziały, każda na swoim miejscu, nie rozmawiając i nie patrząc na siebie.

Marya Mozza powtarzała rolę Pauliny w „Nos bons Villageris,” którą miała grać na przedstawieniu amatorskiem. Towarzyszka jej, Zofia Magiano, pokrywała niechęć, robiąc szydełkiem „gwiazdkę.”

Serafina Casale, mała, chłodna, dumna, blada i pochmurna, połykała pigułkę żelazną przeciw niedokrwistości, a piękną twarz Aneczki Pescara pokrywało zakłopotanie na myśl, że będzie musiała pracować wespół z tą nudną Serafiną.

W ciemnym kącie Julia Scarano nacierała i błagała służącą, Gaetaninę Galante, aby w imię wszyst-

kich świętości uczyniła jej tę łaskę i posłała przez kogoś list do Mimi.

Galante opierała się, mówiąc, że nie chce się już mieszać w takie sprawy, że miała zbyt wiele przykrości, że telegrafistki są bezwstydne, a ona, służąca, stokroć razy więcej warta jest od nich, choć udają dumne, bo umieją telegrafować na maszynie, a jednak muszą się ciągle poniżać przed nią prośbami różnego rodzaju.

Giulietta bladła, głos jej drżał, gdy ją służąca tak męczyła brutalną odmową. Udało się jej w końcu jednak wziąć ją za rękę.

Naraz zamilkły wszystkie głosy gniewne, żałośne, skarżące się na nudy, na strapienia miłosne, na zazdrość zawodową.

Weszła dyrektorka.

I chórem, powtarzane przez głosy niższe i wyższe, odezwały się te słowa:

— Dzień dobry pani!

Ona kiwała głową, z miłym uśmiechem na ustach koloru martwej róży. Cienkie blond włosy jej były ściągnięte mocno w węzeł. Ani jeden włos nie znajdował się na nieswojem miejscu. Cała twarz miała miękką tłustość i błądź kości słoniowej, jak zwykle u panien po latach trzydziestu, żyjących w klasztorze lub pensjonacie, w czystości temperamentu i wyobraźni.

W rzeczy samej coś klasztornego w niej było. We wszystkim przebijało: w ubraniu z czarnego kaszmiru, w białym kołnierzyku, w cichości chodu, w niżonym głosie, w rękach, które zdawały się składać tylko do modlitwy, w jasnej przezroczystości szarych oczu, w pewnych ruchach głowy.

Zdejmowała powoli płaszcz i rękawiczki i oglądała dziewczęta, zauważywszy, że Peppina de Nota-

ris nosi pierścionek mężki na małym palcu, że Olimpia de Faraone ma za dużo *veloutiny* na twarzy.

Telegrafistki usiłowały być swobodne, ale to chłodne spojrzenie przejmowało je zmieszaniem.

Dyrektorka weszła pierwsza do sali z maszynami i siadła na swem miejscu, za biurkiem, pisząc coś w księgach, z pochyloną głową.

— Burza w dyrekcyi—rzekła Katarzyna Borrelli, najzuchwalsza ze wszystkich, nasuwając okulary na nos, bo miała krótki wzrok.

Telegrafistki rozprawiły jeszcze w przedpokoju, bo brakowało pięciu minut do siódmej. Co chwila dzwonek elektryczny oznajmiał kogoś nowego. To weszła Peppina Sanna, drobna i szczupła, cała angielska, z czarnym jedwabnym woreczkiem i książką wydania Tauchnitz; to Marya Immacolata Concetta Santaniella, biała, wysoka i tęga, pełna skrupułów religijnych, wzywająca pomocy niebios, nim wysłała depeszę; to znów Anusia Caracciolo, brunetka o różowych ustach, marzących oczach i leniwym chodzie Kreolki, niedbała pracownica, której żadne wymówki nie mogły rozbudzić.

Rozmawiano kółkami, po dwie, po trzy, zerkając na dyrektorkę, która pisała wciąż w postawie zakonnicy. Gdy usłyszała głos zbyt podniesiony, śmiech zagłośny, podnosiła głowę i gromiła:

— Pss!

Potem wybiła godzina i zaraz jasny głos zarządzącej:

— Panienki, do roboty!

W milczeniu przechodziły przed nią, udając się do maszyn. W pełnem świetle sali o trzech oknach widać było zaspane twarze tych, co krótko wypoczywały, blade oblicza zziębniętych, schorowanych. Na

wszystkich rysowała się spokojna rezygnacya, obojętność znudzona, apatya prawie pogodna.

Zaczynały dzień pracy spokojnie, zajęte robotami przygotowawczemi. Ta nastawiała nożyk, wskazujący znaki, tamta szykowała nowe paski.

Potem zapanowała cisza. Przerzywały ją tylko zdania monotonne:

— *Direttrice*, Caserta nie odpowiada.

— *Direttrice*, Aquila mówi.

— *Direttrice*, Genua, jak zwykle, żąda wzmożenia prądu.

— *Direttrice*, Benevento pyta się, która godzina akuratnie?

— *Direttrice*, Otranto ma depeszę z czterystu słów po angielsku.

— *Direttrice*, Salerno mówi, że coś się zepsuło na linii Potenza.

Słońce zimowe zajrzało przez okna. Żadna nie podniosła głowy, żeby na nie popatrzeć.

---

## II.

Wśród spokoju nieruchomych maszyn, które здаwały się spać w to popołudnie świąteczne, odezwał się nagle słaby sygnał telegraficzny.

Nikt go nie słyszał.

Telegrafistki, skazane na pracę od drugiej do dziewiętej wieczór w dzień Bożego Narodzenia, zajęte były czem innym.

Marya Concetta Immacolata Santaniello odmawiała pocichu Różaniec; Pasqualina Morra, poetka, czytała tomik poezyi; Piotra Pawła Parzanese, książ-

kę, dozwoloną przez dyrektorę. Giuletta Scarano pi-  
sała coś szybko na blankiecie telegraficznym; Adelina  
Marko drzemała, trzymając ręce w mufce, z futerkiem  
na szyi; Anusia Caracciolo patrzyła w próżnię ze zwy-  
kłym roztargnieniem.

Inne to drzemały, to szeptały półgłosem z są-  
siadkami, to udawały, że nie słyszą, aby się nie  
ruszać.

Ale wezwanie powtórzyło się głośniejsz. Pochod-  
ziło od samotnej maszyny w rogu stołu. Concetta  
Santaniello przerwała pacierze i rzekła tonem litanii:

— Foggia wzywa.

Nie poruszyła się jednak. Nie zastępowała ni-  
gdy nikogo, chyba na wyraźny rozkaz dyrektorki.

Tymczasem sygnały stawały się coraz śpie-  
szniejsze.

Telegrafistki, aby coś mówić, aby przerwać tę  
nudną ciszę, zaczęły jedna po drugiej:

— Foggia wzywa, Foggia wzywa, Foggia wzy-  
wa! Kto jest przy Foggii? kto odpowie Foggii?

— Cicho, cicho, jestem! — odparła Aneczka Pes-  
cara, wychodząc z przedpokoju i biegnąc do ma-  
szyny.

Zaczęła odbierać, pisząc na arkuszu papieru de-  
peszę. Po paru pierwszych słowach przywołała nie-  
odstępną przyjaciółkę.

— Borelli, chodź-no tu!

Borelli złożyła czytany ukradkiem numer „Mo-  
tyla”, dziennika literackiego, schowała go do kiesze-  
ni, poprawiła machinalnie okulary na nosie i przy-  
biegła do przyjaciółki. Zaczęła z kolei czytać de-  
peszę.

— Głupieci! — zawołała naraz.

— Przepraszam, nie widzę w tem nic głupiego.  
Kocha bardzo swoją wybraną! — ujęła się Aneczka,  
dotknięta w uczuciach sentymentalnych.

— Tak, ale mężczyzna nie powinien się tak poniżać—odparła Borelli doktorskim tonem.

Telegram miłosny szedł w dalszym ciągu. Składał się z pięćdziesięciu dziewięciu słów, a był adresowany do jakiejś Maryi Talamo w Neapolu, na Riviera di Chiaia. Mężczyzna w słodkich wyrazach wylewał swą miłość, żaląc się na samotność swą w tym dniu uroczystym, błagając o słówko przychylnie od ukochanej, przysięgając, że nic nie pokona tej miłości: ani zawiść ludzka, ani przeciwności losu, ani nawet pogarda jego ubóstwianej.

Wszystko to zostało odczytane przez Maryę Morra, która się przybliżyła, przez Peppinę Launa, która przystanąła, przechodząc, przez Katarzynę Borelli i Aneczkę Pescara, nie przerywającą w dalszym ciągu czynności.

— Co za krasomówstwo! — wykrzyknęła Borelli.

— Czy to telegram z Casacalenda?—zapytała de Notaris, podchodząc.

— Tak.

— O, to rzecz zwykła! Codzień prawie taki przychodzi. Sama już odbierałam!

Dziesięć dziewczyn otoczyło maszynę z Foggia. Aneczka Pescara rozsiadła się z dumą na kanapce i czytała uroczyście te słowa namiętne.

Koleżanki stały wsluchane. Ida Torelli drwiła, Katarzyna Borelli wzruszała ramionami, jakby oburzona za tyle głupstw. Ale reszta wzruszona była tą prozą telegraficzną. Półgłosem mówiły o własnej miłości, mniej lub więcej szczęśliwej.

Najpiękniejsza z nich, Adelina Markò, miała dwóch, czy trzech konkurentów, których nie mogła znieść. Kochała natomiast starego urzędnika z telegrafu, wdowca z dwoma synami, za którego rodzice nigdy jej wyjść nie pozwolą. Męczyła się tą miło-



ścią, nie mogąc pisać, ani widywać się z ukochanym.

Peppina Sanna myślała o pięknym oficerze marynarki z blond wąsikami, który żegluje obecnie po wodach Japonii i wróci dopiero za dwa lata. Marya Mozza, artystka teatrów amatorskich, kochała wiernie, od pięciu lat, urzędnika, który oczekiwał awansu, aby się ożenić, a tymczasem pocieszał się, grywając komedyjki współ z narzeczoną.

Aneczka Pescara, załatwiwszy się z depeszą, myślała o swym studencie, prawniku z drugiego kursu, który musiał jeszcze dwa lata studyować dla uzyskania dyplomu, potem trzy na stopień prokuratora, potem cztery lub pięć lat czekać na klientelę lub ubożuchne miejsce gdzieś na prowincyi...

Te biedne, uczciwe, gorące miłości wybuchały z dusz dziewiczych teraz, w dniu świątecznym, który zmuszone były spędzać w biurze, zdala od ukochanych, zdala od przyjemności rodzinnych. Ale naraz rozmowy zamilkły.

Dyrektorka weszła z przyległej sali, gdzie rozmawiała z naczelnikiem sekcji męskiej.

— Cóż to za zbiegowisko? Na miejsca, na miejsca. Nie wolno opuszczać aparatów. Torelli, Neapol-Chiaia wzywa, a ty rozmawiasz! Sanna, skończyłaś przepisywanie wykazu, który ci dałam? De Notaris, oto telegram do Potenza, wyślij go. Markò, i ty opuściłaś swe miejsce? Cóż za mania spisków!

— Proszę pani, to była depesza!—rzekła Katarzyna Borelli ze zwykłą nieostrożnością.

— Co za depesza?

Za ramionami Aneczki dyrektorka przeczytała blankiet. Telegrafistki, wróciwszy na miejsca, śledziły ukradkiem na jej klasztornej obliczu wrażenia listu miłosnego. Ale nie nie pokazała po sobie. Wzię-

ła depeszę i wsunęła w otwór drzwi, prowadzących do sekcji męskiej.

Wróciwszy, stanęła na środku pokoju i rzekła surowo:

— Moje panie, myślałam zawsze, że mam do czynienia z dziewczętami rozsądnymi, poważnymi, które umieją w miejscu tem zapominać o płochości i nieostrożności młodzieńczej. Widzę, że się omyliłam. Jedna depesza odrywa was od obowiązków. Jeśli się nie opamiętacie, źle będzie. Przypomnijcie sobie przysięgę nie zdradzania sekretów telegraficznych. Najlepiej niezajmować się tem, co prywatne osoby piszą do siebie. Proszę to zapamiętać na przyszłość.

Głębokie milczenie. Żadna nie śmiała odpowiedzieć.

Dyrektorka mówiła wolno, nie unosząc się, nie patrząc na nikogo, ze spuszczonej oczyma. Nie była zła, tylko czuła odpowiedzialność, włożoną na siebie i bała się ustawicznie, aby jej sekcya nie przedstawiła się źle przed władzą.

Nastąpiła przykra, nieprzerwana cisza. Wszystkie myślały, nie biorąc się do pracy, jakby rażone piorunem. Tylko aparat, na którym de Notaris telegrafowała do Potenzy, dźwięczał zcicha.

— Która godzina?— spytała.

— Siedemnaście i trzydzieści — szepnęła cichutko Klemencya Achard, jej sąsiadka.

Po chwili:

— Siedemnaście i trzydzieści jeden — dorzuciła Ida Toreli.

— Dzięki — rzekła de Notaris, znacząc czas na papierze.

Jest więc wpół do szóstej. Od pół godziny już ciemno, ale do dziewiątej zostaje jeszcze półczwartej godziny.

Zapalono gaz, dyrektorka jednak, widząc, że

niema roboty, kazała ściemnić płomyki. Dyrektor zalecał zawsze oszczędność gazu.

W tym półcieniu trudno było czytać lub robić szydełkiem.

Cienie maszyn rozścielały się dziwacznie na stołach. Tu i tam błysnęło coś niewyraźnie, jakiś guzik metalowy aparatu, kolczyki ze *strassu* Olimpii Faraone, szpilki z czarnego rogu, które Ida Torelli nosiła w jasnych włosach.

Cisza niezmacona.

Nie mogąc czytać, pisać, haftować ani rozmawiać, dziewczęta myślały.

— Czego chciał od ciebie Neapol Chiaia, Torelli? — zapytała dyrektorka ze swego miejsca.

— Nic, proszę pani, zamieniliśmy *nic*.

— Czy mówił co potem?

— Tak. Mówił, że dziś Boże Narodzenie i że się nudzi.

— Spodziewam się, żeś go zostawiła w milczeniu.

— Nic nie odpowiedziałam, proszę pani.

— Dobrze.

Rozmowa na linii, po za sprawami urzędowymi, surowo jest wzbroniona. Patrzone przez szpary na spóźnienie, na omyłki, na nieudolność: na rozmowę z korespondentem — nigdy. Przyłapany na grzechu tym po raz pierwszy, dostawał burę, potem był strzeżony, co jest dużą karą. Korespondentowi zapowiadano listem od dyrekcyi, aby się to nie powtarzało.

A jednak był to grzech najczęściej się powtarzający i najchętniej popełniany, bo najniebezpieczniejszy.

W tej ciszy, w tym półcieniu, Aneczka Pescara rozmawiała pocichutku z korespondentem z Fogii. Ten, przestawszy telegram miłosny, wykrzyknął nagle:

— My nie popełnimy takiego głupstwa, nieprawda, proszę pani?

Aneczka odparła, że chciałaby je popełnić, że miłość jest piękną rzeczą, na co korespondent rzekł, że miłość unieszczęśliwia trzy czwarte rodu ludzkiego.

Dyskusya sentymentalna zaczęła się rozgrzewać. Aneczka, odgadująca słuchem wyrazy, po szmerze nożyka, wybijającego znaki, nie potrzebowała uciekać się do papieru. Naciskała mocno aparat, aby odpowiedzi jej nie robiły hałasu. Pograżona w cieniu, oparta o sofę, zdawała się drzemać, z białą rączką na aparacie. Przyjaciółki i koleżanki widziały, że rozmawia z Foggią, ale któraby ją zdradziła! Same to nieraz robiły. Dziś nawet Olimpia Faraone rozmawiała z Reggio, jak zwykle. Ale ta, mniej ostrożna i doświadczona, przesuwiała pasek i oddzierała po kawałku, chowając do woreczka.

Od trzech tygodni codziennie rozmawiała w ten sposób z Kalabryjczykiem, który już napisał do niej dwa listy miłosne.

Dnie świąteczne były jakby stworzone do takiej korespondencyi zakazanej. Urzędnicy nudzili się w samotnych biurach, bez zajęcia, i ogarniała ich chęć gwarzenia. Dziewczęta nudziły się również, a taka rozmowa z nieznanym, tak dalekim, działała na wyobraźnię.

— Pescara!—wyrzekła naraz dyrektorka.

— Słucham!—wybelkotała ta, przerażona, przyciskając mocno ręką aparat, aby uciszyć korespondenta.

— Czy śpisz?

— Nie, proszę pani.

— Zapytaj Foggii, czy nic niema.

Aneczka uśmiechnęła się w cieniu. Po chwili rzekła monotennie:

— Proszę pani, nic niema z Foggii.

Ale Katarzyna Borelli, której zawsze figle trzymały się w głowie, rzekła do Olimpji:

— Faraone, zapytaj, czy Reggio nic niema?

A Faraone spokojnym głosem:

— Niema nic z Reggio.

Dyrektorka nie domyślała się niczego. Pisała list do towarzyszki szkolnej, która była teraz nauczycielką wiejską. Życzyła jej pomyślności z nowym rokiem, wspominając dobre czasy klasztorne. Donosiła, że zadowolona jest ze swego miejsca. List wszakże pełen był melancholii.

I na nią opadł smutek tych dziewcząt, zmuszonych trawić czas na niczem w święty dzień Bożego Narodzenia, gdy krewni, znajomi, przyjaciele, szykowali się do wesołego spędzenia wieczoru. Ona nie miała już nikogo, sama była na świecie, ogarnęła ją wszakże tęsknota za jakimś domem, za osobami kochanymi.

Podniosła głowę i patrzyła na te wszystkie nieruchome postacie, to drzemiące, to kryjące głowę w rękach, to szepczące pocichu z sąsiadką. Nie gderać już. Czując chłód, wiszący nad tą młodością i w sercu jej rosła wielka litość nad niemi i nad samą sobą.

Marya Vitale kichnęła dwukrotnie.

— Na zdrowie — rzekła cichutko Klementyna Achard.

— Dziękuję.

Wytarła sobie mocno nos i spytała:

— Ty tu jesteś? Myślałam, że masz rano dyżur.

— Zamieniłam się z Serafiną Casale, która wolała być wolna na wieczór.

— I poświęciłaś się.

— To nie poświęcenie.

Była to anielska istota, szczupła, czarniawa, słodka i cicha. Nie była mocna w swym fachu; w milczeniu zносиła dyżury przy najgorszych liniach, z cierpliwością niesłychaną, nie skarżąc się nigdy, nie podnosząc głosu, starając się poświęcać, ile tylko mogła.

Oddawała przyjaciółkom tysiączne usługi. Jednej przynosiła deseń do haftu, drugiej modną krawatkę, trzeciej powieść, czwartej nuty. Zastępowała nerwowe koleżanki, które długo nie mogły wysiedzieć przy jakiejś źle funkcjonującej linii. Zawsze gotowa była zostać dwie lub trzy godziny dłużej dla innych; często oddawała cały dzień wolny, przypadający raz na dwa miesiące. Pożyczała parasol, a sama mokła na deszczu. Pożyczała chustkę, a sama trzęsa się z zimna. A wszystko to bez przesady, z taką dobrocią i naturalnością, że towarzyszki w końcu nie czuły się już obowiązane do wdzięczności. Wiedziały, że aby otrzymać, czego chciały, dość było powiedzieć:

— O Achard, proszę cię, zrób mi, zrób tę łaskę...

Nie opierała się. Mówiła natychmiast:

— Dobrze.

Często bywały brutalne z nią, tak wykształconą. W przeddzień, Serafina Casa'e powiedziała:

— Achard, zastąp mnie jutro wieczorem. Mamy obiad proszony, a potem idziemy do teatru. Ty pewnie nigdzie nie idziesz, więc ci wszystko jedno. Zmień się ze mną.

Łagodna istota nie śmiała odpowiedzieć, że jej nie wszystko jedno, że od miesiąca wybierała się na przedstawienie. Ustąpiła tej, która ją prosiła z takim brakiem delikatności.

Dyrektorka, dowiedziawszy się o tem, rzekła:

— Biedna Achard! Nadużywacie jej dobroci!

W taki sposób Klementyna znalazła się obok Maryi Vitale, która miała nos czerwony i ciągle łzy w oczach z kataru.

Marya była w złym humorze i objawiała to naiwnie. Przyczyną było to, że nie mogła oddychać swobodnie, i że musiała być w biurze w święta.

— Wyobraź sobie, moja droga, że ledwie miałam czas wysłuchać trzech mszy. Potem poszłam z mamą, siostrą i Karolkiem do matki chrzestnej, która jest bardzo bogata. Dała nam kawy. Ale co tam kawa! Zdawało mi się, że to trucizna. Ten przeklęty katar pozbawia mnie smaku. A przytem myśl, że muszę przyjść tu o wpół do trzeciej!... Jadłam obiad sama, na rogu stołu... Cała rodzina miała jeść obiad o trzeciej, a potem iść do teatru, na południowe przedstawienie „Córki pani Angot.” Szczęśliwil O dziewiętej będą już w domu i położą się do łóżek.

— Czemuż nie pójdziesz do teatru, gdy ojciec przyjdzie po ciebie o dziewiętej?

— O tej porze? Jestem tak znużona, że mam tylko jedno życzenie—spać. Och, droga moja, zawsze zadowolona byłam z pracy, choćby dlatego, ażeby przynosić do domu pieniądze, ulżyć ojcu, który ma astmę, pomagać mamie, która straciła zdrowie przy synach. Ale to za ciężkie życie! Kiedy wszyscy odpoczywają — my w biurze. Pan Bóg odpoczywał siódmego dnia, a my nigdy!... Jeśli zachorujemy i opuszczamy dyżury, wytrącają nam z pensyi. Tak się nawet ze służącemi nie robi! Nie wiemy, co to Wielkanoc, co to Boże Narodzenie, co to karnawał. Przy końcu miesiąca dają ci zato osiemdziesiąt cztery liry. Nie, nie, to niewola!

— Czemuż nie zostałeś nauczycielką? — spytała Achard, westchnawszy.

— Byłam za głupia — odparła Marya i spuściła

głowę. — Robiłam zawsze błędy ortograficzne w dyktandzie i nie rozumiałam arytmetyki.

— Cóż robić! Musisz być cierpliwa. Czy to nie wszystko jedno, czy Boże Narodzenie, czy inny dzień? Zresztą, każdy ma swoje cierpienia, ten takie, tamten inne.

— I ty, biedaczko, masz swoje. Macocha ci dokucza?

— Nie, nie — odparła szybko, ale głos jej zadrzął. — Macocha jest dobra.

— Masz brata w wojsku?

— Tak, w Tawii.

— Przyjechał na święta?

— Nie mógł dostać urlopu.

— I on będzie sam, biedny! Czy przez to jesteś taka smutna?

Klemencya Achard poruszyła głową, jakby chcąc zaprzeczyć, ale łzy spływały jej po policzkach, powoli, cicho. Marya Vitale, zobaczywszy to, rozrzuwniona własnym i towarzyski smutkiem, dręczona katarą, zaczęła łkać na cały głos.

— Co tobie Vitale? Czemu płaczesz? — spytała dyrektorka.

— Nic, nic — wyłkała dziewczyna, zanosząc się, kaszląc, wycierając nos z całej siły.

— Jakże nic? Co ci się stało? Powiedz?

— Płacę, bo mam katar! — odparła wreszcie z dziecinnym akcentem.

— Szczęśliwa, że nie masz innych powodów do płaczu! — mruknęła Giulietta Scazano.

— Dzieciak z ciebie, Vitale! — wtrąciła Aneczka Pescara. — Powąchaj amoniaku, to wyzdrowiejesz!

— Nie, lepiej wypić filiżankę herbaty! — poprawiła Peppina Sanna.

— Nie słuchaj, Vitale — zawołała Ida Torelli. —



Zakop się pod kołdry, żebyś się wypociła przez całą noc, a jutro będziesz zdrowa!

— Vitale! dziecię moje, nie rób sobie nic z tego! — rzekła Katarzyna Borelli, śmiejąc się.

Naraz zrobił się ruch w biurze. Neapol - prefektura przesyłał cyrkularz do wszystkich prefektów i podprefektów w kraju, aby skonfiskowali numer 358 dziennika *La Spira* (Śruba) ponieważ artykuł „Monarchia”, zaczynający się od słów „Dopókiż jeszcze”, a kończący na „w kałuży krwi”, zawierał rzeczy przeciwne porządkowi społecznemu, znieważał władzę i podburzał umysły.

Płomienie gazowe rozjaśniły się w jednej chwili. Sygnały zaczęły dzwieć.

Campobasso, Avellino, Cassino, Pozzuoli, Castellamare, Salerno, Caserta, Benevento, Reggio, Catanzaro, Aquila, Foggia, Bari, Bologna, Genua, Wenecya, Ankona, Cosenza, Casoria, Potenza, Sora, Otranto otrzymywały słowa cyrkularza. Przez pięć minut biuro było ożywione. Nastąpiła pauza i milczenie, i znow brzęk metaliczny nożyków. Korespondenci odpowiedzieli Neapolowi numer depeszy, tytuł dziennika, numer, tytuł artykułu, jego słowa pierwsze i ostatnie, słowem rzeczy ważniejsze, aby uniknąć omyłki.

Ktoś zapytał, która godzina. Była *dziewiętnasta*. Przyciemniono znow gaz; telegrafistki rozsiadły się na kanapach, podejmując dalszy ciąg rozmów lub myśli.

Korespondent z Catanzaro rzekł nagle do Maryi Morra:

— Było też czem nas tak trudzić!

— Żartuje pan! Kto wie, co było w tym artykule! — odparła Marya.

Wywiązała się sprzeczka polityczna. Marya nie nawidziła republikanów, nazywała ich zbójcami, korespondent zaś był socyalistą.

Telegrafista z Cassino przeklinał depeszę, mówiąc Klemency, że w pośpiechu zakrzusił się kieliszkiem likieru, i teraz kaszle jak opętany. Klemencya zmieszana, bała się prowadzić zakazaną rozmowę, a wstydziła okazać mało wykształconą. Nie wiedząc, co począć, przesłała jedno uderzenie, kropkę. Cassino widząc, że korespondencya nie idzie, zamilkł.

W tej chwili, z placu Pocztowego, wpadło do sekcji żeńskiej pomiędzy odgłosami świątecznymi dźwiękami, łagodne gwizdanie. Peppina de Notacis, mimo wrodzonej przytomności umysłu, zarumieniła się lekko. Wszystkie jej koleżanki zamieniły uśmiechy. Znały legendę miłosną wielbiciela Peppiny. Był to brunet, smukły i delikatny, urzędnik w municypalności. Ubóstwiał Peppinę. W biurze przebywał do piątej. Jeśli była wolna po południu, szedł do niej i pozostawał aż do obiadu, to jest do siódmej. Po obiedzie wracał śpiesznie.

Jeśli wszakże była na służbie, obiadował na prędce i szedł do kawiarni, naprzeciwko telegrafu. Co pół godziny gwizdał przeciągle, łagodnie, jakby mówiąc:

— Oto jestem, kocham cię.

W małej kawiarni nie było nigdy nikogo, Wielbiciel Peppiny, siedząc tam trzy lub cztery godziny z rzędu, czytywał dzienniki, rozmawiał z właścicielem, ze służącymi, stał się przyjacielem wszystkich.

W lecie siadywał na werendzie, rozprawiając z konduktorami omnibusów, oczekującymi na pasażerów.

Był punktualny. Nigdy nie zapomniawszy gwizdać co pół godziny, jakby chcąc powiedzieć:

— Pociesz się, najdroższa, jestem tu, kocham cię, nie mam serca bawić się, gdy ty pracujesz. Czekam na ciebie, ufaj i bądź cierpliwa.

Poetyczna legenda sercowa krążyła po sekcji żeńskiej. Wszystkie oczekiwały sygnału, jakby do nich się zwracał. O dziewiątej Peppina de Notacis pierwsza uciekała, żegnając się z pośpiechem. Ojciec czekał na nią, by ją odprowadzić do domu, ale tam dalej, aby nie zwracać uwagi, przechadzał się zakochany. Zamieniali półgłosem „dobry wieczór” i szli we troje, rozmawiając o tem, co zaszło w ciągu dnia w sekcji żeńskiej i w municypalności. On nie okazywał niecierpliwości, ani znużenia po tak długim oczekiwaniu w samotnej kawiarni, w bezczynności. Ona spoglądała na niego z niewypowiedzianą czułością, nie dziękując.

— Panienkil — ostrzegła naraz dyrektorka. — Nie śpijcie, bo za chwilę będzie tu dyrektor.

Te, co robiły szydełkiem, złożyły je i zawinęły w papier. Te, które czytały, złożyły książki. Pasqualina Mozza odniosła dyrektorce pożyczony jej tomik poezji Parzanese'go. Była to jej ulubienica, bo nie rozmawiała, nie ruszała się z miejsca i napisała wiersze „Do fiołka” o nastroju religijnym.

Marya Immacolata Concetta Sautaniello, chcąc się „pokazać”, czytała ustawę międzynarodową telegraficzną. Pierwszą, która się podniosła i podeszła do dyrektorki, była Krystyna Juliano.

— Proszę pani — rzekła, opierając się o biurko i przeszywając zwierchniczkę białem, krzywem okiem, niech pani powie dyrektorowi, że chcę odejść pół godziny wcześniej.

— Dlaczego?

— Jest święto... Mam być na balu.

— Idziesz na tańce? — spytała dyrektorka, mierząc wzrokiem jej ubożuchne ubranie.

— Tańczymy u nas! — odparła dziewczyna z dumą. — Ponieważ odnajmujemy pokoje kilku studentom...

— Powiem dyrektorowi, gdy przyjdzie.

Krystyna Juliano wróciła na miejsce. Po niej wystąpiła Katarzyna Borelli.

— Proszę pani, niech pani powie dyrektorowi, że chcę odejść pół godziny wcześniej.

— Także idziesz na bal?

— Nie, do teatru.

— Co grają?

— *Messalinę* Cossa'y.

Dyrektorka ściągnęła brwi.

— ...Powiem—rzekła po chwili, suchym głosem.

— I dla Aneczki Pescara? Nie chodzę nigdzie bez niej.

— Zdaje mi się, że za dużo wymagasz, Borelli.

Jeszcze dwie, czy trzy przyszły prosić o te marne trzydzieści minut, jak o łaskę. Adelina Markò wybierała się na operę, Olimpia Faraone na bal.

Zwierzchniczka przyrzekła wstawić się, nie mogła więcej uczynić. Ale było za dużo prośb. Wszystkie, które je zaniósły, spoglądały ciągle na drzwi, którymi miał wejść dyrektor. Był to Piemontczyk, ostry, surowy, dyrygujący dziewczętami, jak pułkiem żołnierzy. Chłodny gniew jego przerażał najodważniejsze.

Po obiedzie, który jadł niedaleko, wpadał na kontrolę wieczorną. Wchodził zawsze znienacka, witał się tylko z dyrektorką i krążąc pomiędzy telegrafistkami, widział wszystkie opóźnienia, nieuwagi, nieporządki, plamy, uszkodzenia. Z cicha, patrząc w oczy dziewczynie, robił krótką uwagę. Ona spuszczała oczy, nie odpowiadając, i starała się czempredzej naprawić omyłkę.

Z początku ta i owa chciała się tłómaczyć, ale on się odwracał i szedł dalej, jakby nie słyszał. Nie dopuszczał z zasady, aby z nim dysputowano.

We dnie, przy słońcu, wydawał się mniej stra-

szny. Wieczorem wszakże, w cieniu, czarne jego inkwizytorskie oczy, cichy chód, głos stłumiony, nie znoszący repliki, wszystko to miało coś fantastycznego w sobie i budziło grozę. We dnie nazywały go „tatusiem” lub *mammone*, co oznacza postrach dzieci neapolitańskich. Wieczorem był *dyrektorem*, a te cztery sylaby, bełkotane raczej niż mówione, ścinały krew w żyłach.

Dziś jednak pragnęły prawie jego przyjścia. Miały przecież zyskać pół godziny!

— Zobaczysz, że dziś nie przyjdzie wcale i będziemy musiały siedzieć do dziewiętej! — rzekła Katarzyna Borelli do przyjaciółki.

— Gdzieżby był?

— Będzie świętował Boże Narodzenie wespół z wice-dyrektorką.

— Borelli, jesteś złośliwa.

— Co za złośliwość? Są po słowie. Nie wiesz

**BIBLIOTEKA**

UMCS Aneczka powierzyła śpiesznie tajemnicę Idzie ~~UMCS~~ Nowina krążyła półgłosem po sali.

Teraz wszczęła się sprzeczka: czy wice-dyrektorka może być dalej na posadzie po zamążpójściu? Telegrafistki nie mogły, podług reguły, ale czy reguła odnosi się również do dyrektorki i wice dyrektorki? Jedne mówiły, że tak, inne przeczyły.

— Zobaczycie, zobaczycie, że wyjdzie zamąż i zostanie tu! — utrzymywała Olimpia Faraone. Będziemy się miały zpyszna pomiędzy mężem i żoną!

— Dlaczego? Wice dyrektorka jest trochę nerwowa, ale niezła — broniła Peppina Sanna.

— Dobra, dobra — dodała Katarzyna. — Trzeba ją poznać, ażeby ocenić. Ja byłam na jej *zmianie*, to wiem.

— Ale nie zostanie po wyjściu zamąż! — rze-

kła Peppina de Notazis. — Zrobią wybór pomiędzy najlepszemi na jej miejsce.

Kto, kto mógłby je otrzymać! Pod czyją władzę się dostaną? Może Serafina Casale dumna, pogardliwa, zarozumiała? Albo Adelina Marlio, taka piękna, taka miła? Byłoby to przyjemnością dla wszystkich. Ale ona nie przyjęłaby tej godności. Dziś lub jutro wyjdzie zamąż, jest telegrafistką przygodną, chwilową. Katarzyna Borelli? zręczna, inteligentna, ale zbyt żywa, zbyt głośna i często narażała się przełożonym, nie zatwierdzą jej. Pasqualina Mozza, poetka? Za młoda, mięka, bez energii, bez powagi.

— Panienki, panienki, trochę ciszej.

Był już kwadrans na dziewiątą. Ta ostatnia godzina zdawała się nie mieć końca. Te, które prosiły o uwolnienie, dostały drżenia nerwowego. Dyrektor nie nadchodzi... będą musiały męczyć się do dziewiątej...

— O, pani, kiedyż przyjdzie dyrektor! — wykrzyknęła rozpaczliwie Bozelli.

— Oto jestem. Pani sobie życzy czegoś? — zapytał nagle głos męski.

Borelli, mimo przytomności umysłu, skamieniała. Dyrektor gładził wąż, jakby w oczekiwaniu, patrząc na nią zimno, ze spokojną wyższością mężczyzn, nie znoszących kobiecości.

— ...Nic, dziękuję — wybełkotała głupio Borelli.

Dyrektor rozpoczął zwykły swój obchód, z dowolnością, która do rozpacy doprowadzała te, które chciały odejść wcześniej. Czytał rejestry, długo, jakby się ich na pamięć uczył. Czytał wszystkie depesze. Marko, Bozelli, Juliano, Pescara spoglądały błagalnie na dyrektorkę, prosiły prawie, żeby wstała, doszła do zwierchnika, uzyskała upragnione pozwolenie. Było już wpół do dziewiątej...

Dyrektorka nie rozumiała, czy udawała, że nie rozumie. Wiedziała, że nie można przeszkadzać dyrektorowi w kontroli. Upiływające chwile wydawały się wiekami. Naraz straciły nadzieję; dyrektor wziął jakąś depeşe i udał się do sekcji męskiej.

— Odchodzi, a my nie mamy pozwolenia! — myślały.

Był to jednak fałszywy alarm. Wrócił niebawem i podszedł wprost do biura dyrektorki. Mówił coś półgłosem, bez gestów, ale z nadzwyczajną siłą. Ona słuchała uważnie ze spuszczonei oczyma; jedną bieluchną rękę położyła na biurku, drugą podparła głowę. Co chwila poruszała powiekami, jakby na znak zgody. Nie odpowiadała jednak, a on nie przerywał mowy.

Dziewczęta drżały, jakby ten upływający kwadrans był ostatnią deską ratunku. Za każdym razem, gdy dyrektorka otwierała usta, zamieniały się w słuch. Ale ona rzucała tylko dwa, trzy słowa, jakby uwagi, które on szybko odpierał.

Gdy było dziesięć minut do dziewiątej, Katarzyna Borelli, nie mogąc wytrzymać, rzekła półgłosem:

— Do diabła z Galvanim, Voltą, butelką Leydeyską, telegrafem i emancypacją kobiet!

— Aquila mówi dobranoc! — przemówiła głośno Adelina Markò.

— Odpowiedz pani natychmiast, że zegar jego źle idzie, bo brakuje dziesięciu minut do dziewiątej, że ustawa nie pozwala mówić dobranoc i że niech oczekuje tego z Neapolu! — wygłosił dyrektor. — Pięć minut do dziewiątej!

Na wszystkie dziewczeczki zważyło się ciężkie znużenie, apatya po siedmiu godzinach pracy suchej i niewdzięcznej. Siedziały nieruchomo, nie mając siły wstać i odejść. Pragnęły żarliwie tej dziewiątej, strawiły

na oczekiwaniu radość i życzenia, i teraz, wyczerpane, bez podniecenia nerwowego, nawpół martwe nie pragnęły już niczego!

Te, które miały iść do domu, myślały o łóżku i kolacyi, jak o czysto zwierzęcej funkcji jedzenia i spoczynku. Te, na które czekały bale i teatru, zmęczone, nie miały już żadnej próżności, nie uczuwały żadnego wzruszenia.

— Zostanę tu do północy! — szepnęła Borelli do Aneczki Pescara.

— Dlaczego?

— Z łaski na uciechę!

— Neapol-Chiaia mówi dobranoc.

— Brak jeszcze trzech minut. Niech zaczeka! — rzekł dyrektor, tym razem bardzo surowo.

Wreszcie jasny głos dyrektorki przemówił:

— Godzina dwudziesta pierwsza. Możecie panienki odejść.

Telegrafistki wstały i jedua po drugiej, składały ukłon dyrektorce, bo dyrektor nie chciał, by mu się kłaniano. W przedpokoju, oświetlonym drżącym płomieniem gazu, dobywały z szaf okrycia i owijały się niemi w milczeniu, obojętnie, kompletnie ogłupiały.

Olimpia Faraone tylko pudrowała sobie włosy przed lustrem, ale inne nie były zazdrosne. Patrzyły zdziwione nieco, że jej się chce jeszcze stroić. Ona zaś, wielka kokietka, cieszyła się z tego przygnębienia.

Adelina Marko przyniosła stanik czarny akksamitny, aby go włożyć po służbie. Teraz odechciało jej się; przypięła tylko dwie białe kamelie do bogatego gazowego żabotu. Cała jej piękna, delikatna postać okazywała znużenie niestychane.

Wychodziły w milczeniu, kiwając sobie głową,



nie zamieniając pocałunków, jakby oglupione. Twarze ich przygasty ze zmęczenia.

Na ulicy czekali ojcowie, matki, bracia, aby ich odprowadzić do domu.

— Co tobie? — spytała matka Gulietty Scanzano.

— Nic, mammo.

— Jesteś chora?

— Nie, tylko zmęczona.

Marya Vitale odeszła z ojcem, zawinięta w płaszcz, pożyczony jej przez Klemencyę Achard. Oddychała ciężko, bo katar uciskał jej piersi. Telegrafistki rozpraszały się po ulicach, niby cienie rozplywające się w cieniach, schylone nieco, jakby je nagle pochwycała starość.

---

### III.

Edykt dyrektora w formie listu do dyrektorki, głosił co następuje:

„W niedzielę, 8 kwietnia, będą ogólne wybory polityczne, 15 zaś kwietnia wybory z balotowaniem. Przez te dwa tygodnie, ale szczególnie w sobotę, niedzielę i poniedziałek będzie nawał telegramów na wszystkich liniach. Ztąd więc odwołujemy się do gorliwości telegrafistek, czy zechcą pełnić służbę nadzwyczajną przez dwie, trzy, cztery godziny, oprócz siedmiu obowiązkowych. Wszystkie, które zechcą dać dowód miłości pracy, niech się podpiszą na tej karcie. Nie chcąc jednak zmuszać nikogo, zostawiamy im zupełną swobodę”.

Odezwę tę odczytano z całą uroczystością

o w pół do trzeciej, wobec wszystkich telegrafistek, dyrektorki i wice-dyrektorki.

Dziewczęta słuchały oszołomione, nie mogąc się zdecydować. Zostawiono im dwa dni do namysłu.

Zarodek buntu, wyniesiony z biura, dojrzał na ulicy, w domu.

Nie, nie chcę pełnić służby nadzwyczajnej!

Zwykłe godziny to przeciążenie, to katusze! Mają jeszcze dodawać nowe? Nic z tego! Dlaczego? Dla kogo?

Uważają je za bydła pociągowe, wprzęgnięte do jarzma za te trzy franki na dzień! Strącają im kary, składki, choroby, a przecież prawie wszystkie mają patenty, a w telegrafii pracują tak samo jak mężczyźni, jak urzędnicy drugiej klasy, pobierający dwieście lirów na miesiąc.

Okazać miłość pracy? Także! Kto ją oceni? Nie były mianowane ukazem królewskim, ani ministerjalnym! Zwyczajny ukaz dyrektora, który może odejść lada dzień. Jak mu się spodoba, może je wypędzić, a one nie mają prawa się skarżyć.

Przyszłość? Co za przyszłość! Nie były *na etacie*, ustawa mówiła, że po czterdziestu latach zarząd je uwalnia. Ani słowa więcej. To je czeka, jeśli nieszczęściem zostałyby telegrafistkami do czterdziestego roku życia. Wyrzuca je na bruk, stare, zużyte, ogłupiałe i bez grosza.

Wszystkie te głuche skargi, nurtujące dusze młodzieńcze, wybiegały na usta. Nie umiały jeszcze znosić jarzma biurokratycznego! Wszystkie drobne cierpienia, małe niesprawiedliwości, zabierały głos teraz, wylewając się w potoku słów, w zdaniach, powtarzanych tysiąc razy, w skargach monottonnych.

W domu Katarzyny Borelli naradzały się: Anečka Pescara, Adelina Markò, Marya Mozza, Zofia Maglia-

no. W domu Olimpji Faraone spiskowały: Peppina Sanna, Peppina de Notaris, Ida Torelli.

Przyjaciółki zbierały się dla wspólnego omówienia kwestyi.

Wywiązywały się spory pomiędzy łagodniejszymi a bardziej buntowniczymi. Te wcale nie chciały przyjść do biura, aby zwierzchność wprawić w kłopot. Tamte chciały pełnić tylko służbę zwykłą.

Rodzice, narzeczeni, przyjaciele zajmowali się wielkiem zagadnieniem, dzielając zdanie tych lub tamtych. Nikt nie był za spełnieniem życzeń dyrekcyi.

Telegrafistki czuły, że są proszone, że są silniejsze, i chciały pokazać, że mają charakter.

Ale gdy przyszedł dzień i godzina naznaczona, zaszło ciekawe zjawisko psychologiczne.

Prawdziwa rewolucya umysłów! Z miną zdecydowaną szła cała procesya i jedna po drugiej podpisywały się na karcie.

Grazia Casale napisała, że będzie pełniła służbę za siebie i za siostrę Serafinę, chorą obecnie.

Adelina Markò zostanie na rannej zmianie do piątej, a na wieczornej do północy.

Emilia Torelli: codzień pięć godzin dłużej.

Ida Torelli: jak siostra.

Peppina de Notaris, przyszedłszy o siódmej rano, zostanie do południa, następnie wróci o czwartej i zostanie do północy.

Peppina Sanna odbędzie dwie zmiany całkowite, od siódmej rano do dziewiątej wieczór, prosi tylko o dwie godziny na obiad.

Marya i Pasqualina Mozza, od siódmej rano do północy, proszą tylko o dwie godziny na obiad.

I w ten sposób podpisały się wszystkie bez wyjątku, z obu zmian.

Katarzyna Borelli podpisała wielkimi literami oznajmienie: „Jestem do rozporządzenia zarządu”.

Pod temi zaś ostatniemi słowami przyklejony był list Maryi Vitali, która chora po raz trzeci na zapalenie płuc, pisała z łóżka, że czuje się lepiej i zrobi wszystko, co będzie mogła, aby stawić się w porę.

. . . . .

Co to za dzień był, ta niedziela, ósmego kwietnia!

Od samego rana, niby deszcz, sypały się telegramy kandydatów do wyborców, do syndyków, do sekretarzy, pełne gorących poleceń, upokorzeń, obietnic, zapewnień i ustępstw.

Potem cyrkularz polityczny ministra spraw wewnętrznych, ostatni, do wszystkich prefektów i podprefektów w królestwie, cyfrowany, zawierający czterysta siedemdziesiąt dwie grupy numerów. Trud to niesłychany, połączony z ustawicznym strachem, aby się nie omylić, co spowodowałoby zmianę sensu depeszy. A za każdą omyłkę urzędnik płaci sześć lirów kary...

Gorączka telegraficzna wzmogła się w południe. Ze wszystkich prefektur, podprefektur, gmin i zakątków przychodziły rezultaty wyborów do ministra, do gazet, do kandydatów, do ich przyjaciół, do naczelników stronnictw, do związków politycznych.

Zaraz za nimi nadchodziły telegramy prywatne z objaśnieniami, niezadowoleniem, z nadziejami dogasającymi, z tryumfem, z powinszowaniami, z wylewami goryczy i sceptycyzmu.

O 3-ej wzrost gorączkowy depesz doszedł do szaleństwa.

W sekyi męskiej czynne były z Rzymem dwa druty więcej, niż zazwyczaj, a jednak opóźnienie doszło do trzech godzin. Do Florencyi, do Medyolanu,

do Turynu nagromadziło się tyle depesz, że je liczono grupami, po dziesięć.

Wszystkie maszyny: Morsa, Siemensa, Hughes'a, podwójne Hughes'a, puszczono w ruch. Obaj naczelnicy zmian byli obecni, krążąc jak lunatycy, z zagaśniętym cygarem, ze stosem telegramów w ręce.

Drzwi do sekcji męskiej były uchylone. Zdarzenie niezwykle, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

W sekcji żeńskiej pracowały wszystkie telegrafistki.

Dyrektorka kręciła się między niemi. Wice-dyrektorka, maleńka, z krótkimi włosami, z sympatyczną główką zgrabnego chłopca, biegła od jednej maszyny do drugiej, rozdając depesze, regulując systemy zegarowe, nalewając atrament, zręcznie załatwiając wszystko małemi rączkami, z błyszczącym okiem i żywym słowem.

Telegramy wzrastały, zasypywały wszystkie linie, podczas gdy wysłano jeden, nadchodziło pięć. Gorączka ogarniała telegrafistki. Siedząc na wysokim krześle, okryta czarnym fartuszkim, Adelina Marko pracowała bez wytchnienia, telegrafując ze zręcznością fortepianistki.

Odgarnęła włosy z czoła i zawinęła rękawy, aby jej nie przeszkadzały. Obok niej Giulietta Scarano miała zaledwie czas na notowanie depesz.

Marya Morra, również na wysokim krześle, rozpięła stanik na szyi, bo ją dusił. Miała plamę atramentową na czole, wypieki na policzkach. Co pewien czas zmieniała ją Emma Torelli, ażeby wypoczęła.

Pomiędzy *hughistkami*, jednako odpowiedzialnymi za linię, zawiązywały się krótkie rozmowy, nie przerywające telegrafowania i notowania.

— Ile jeszcze?

— Czterdzieści trzy.

- A jakie opóźnienie?
  - Dwie godziny pięćdziesiąt minut.
  - Panno Najświętsza!
- Potem do korespondenta na linii:
- Ile pan jeszcze ma?
  - Sześćdziesiąt cztery.

Poblady. Nadmiar telegramów był niesłychany. Cały świat dziś telegrafował.

Połączono piątym drutem Neapol z Rzymem. Niespodziewany ten zaszczyt otrzymała sekcja żeńska, która nigdy jeszcze nie korespondowała ze stolicą...

Umieszczono tam tę, która odbierała najlepiej—Katarzynę Borelli.

Z okularami nasuniętymi na nos, z nogą na nodze, niby mężczyzna, z nerwowymi drganiami ust, odbierała ciągle, nie podnosząc głowy, odgadując słowa po pierwszej sylabie, kończąc pisać depeszę, zanim ją korespondent zdążył przesłać do końca. Co piętnaście lub dwadzieścia pytała:

- Dużo ma pan jeszcze?
- Bardzo dużo.
- Mniej więcej?
- Ze siedemdziesiąt.
- Dalej...

I znów odbierała. Potem, ogarnięta jakimś szaleństwem, rzekła:

— Dawaj pan prędzej. Umiem odbierać.

Tamten przyspieszał, z szybkością trudną do ogarnięcia. Ona, podniecona, wołała wciąż:

— Prędzej! prędzej! prędzej!

Na linii Neapol-Salerno widowisko było istotnie zadziwiające. Korespondent był najsilniejszy w biurze, a telegrafował do Peppiny Sanna, jednej z najbieglejszej w sekcji żeńskiej. Rano zamienili radosne „dzień dobry”, powitali się jak szermierze pier-

wszorzędni. Turniej się rozpoczął. Wysyłali i odbierali jednocześnie. Zaledwie korespondent przesyłał tytuł depeszy, Peppina oddawała mu swój. Ciągłe brzęczał—to sygnał Neapolu, szybki, lekki pod doświadczone palcami Peppiny — to nożyk, przysyłający znaki z Salerno, z piekielną szybkością.

Podniecali się wzajemnie.

— Ach, jaki zółw z pana! — wołała Pepina Sanna.

— Co, ja zółw?—krzyczał korespondent i przyspieszał telegrafowanie.

— Myślisz pan, że się przelęknę, i z kolei telegrafowała tak prędko, iż zdawało się niepodobieństwem, aby mógł nadażyć z odbieraniem.

— Prędeż, prędeż! — dźwięczał głos dyrektorki.

— Mamy wielkie opóźnienie! — szeptała dyrektorka, krążąc między stołami.

I dyrektor się zjawiał, ale chodził w milczeniu, poważnie, nie robiąc uwag, niby lew w klatce.

Nie mówiąc nic, widział wszystko. Błądą twarzyczkę Aneczki Pescara, która od dziesięciu godzin siedziała przy linii Reggio i co chwila opuszczała głowę, jakby nie mogąc jej utrzymać. Anielską cierpliwość Klemencyi Achard, borykającej się z siedmiu małemi biurami, z których każde miało depesze i każde chciało być pierwsze. Zamieszanie Idy Torelli, oddanej linii Neapol-Ankona-Bologna.

Miała sześćdziesiąt depesz, a Ankona i Bologna traciły czas, kłócąc się między sobą. Biegłość Peppiny de Notaris, odgadującej raczej, niż odczytującej korespondencye z Catanzaro, których głupi urzędnik nie umiał przysyłać.

Krążył jak lew, ale nic nie mówił. Telegrafistki były dziś bez wyjątku zręczne, roztropne. Podniecenie i pośpiech rozwinął w nich nowe zalety.

Podsuwały sobie przyjacielsko papier, atrament, pióra, oddawały drobne usługi. Nie było już antypatii, niechęci, zawiści. Wszystkie ożywione były jedną chęcią czynienia dobrze.

Była już 8-ma wieczór. Dziewczęta bez obiadu, bez podwieczorku, nie przestawały telegrafować pomiędzy stosem telegramów, wysłanych i zostających do wysłania. Oczy im błyszczały, włosy się rozplotły, ręka nerwowo naciskała sygnał, a głos stłumiony pytał co czas pewien:

— Dużo tam jeszcze?

---

#### IV.

Po łagodnym październiku, ogrzanym słońcem wiosennem i ukwieconym różami, nadszedł pierwszy listopada, dzień Zaduszny. Białe welony chmur pokryły niebo. W południe upadł drobny deszcz jesienny, przemaczejący zawsze pobożny lud, idący na cmentarze.

Przez cały pierwszy tydzień padało ciągle. Deszcz ustawał tylko na chwilę, jakby dla wypoczynku.

W przedpokoju sekcji żeńskiej otwarte parasole lśniły od wody. Na poręczach sof i krzeseł, suszyły się przemoczone okrycia i chusteczki. Nawet na maszynie Hughes'a, służącej do nauki, leżał rozpostarty czarny *waterproof*.

Najostrożniejsze zdejmowały buciki po przyjsciu, kładąc stare, na ten cel przyniesione dawniej i przechowywane w szafie. Po skończeniu służby wszakże trudno było wdziać tamte, pokurczone z wilgoci.



Z nastąpieniem pory deszczowej śniadania tych, które je mogły kupować, uległy zmianie. Zamiast owoców, piło się czekoladę, napój czarniawy, gęsty, gorący, który parzył język i żołądek.

Gabryela Costa, „mała Lavallière”, zwana tak przez koleżanki z powodu owalnej, białej twarzy, melancholijnych oczu i pysznych blond włosów na skroniach i czole, narzekała żałośnie, że się wściec można od tej czekolady.

Śniadania były wiecznym powodem kłótni pomiędzy służącą, Gaetaniną Galante, a telegrafistkami. Nie płaciły codzien, tylko brały na rachunek: ciastka, biszkopeciki, a przy końcu miesiąca, gdy im przedstawiła sumę dziesięciu, piętnastu lirów, kręciły nosem. Lepiej wychowane milczały; gorzej—utrzymywały, że musi być jakaś omyłka, bo nigdyby tyle nie zjadły.

Ale z Gaetaniną trudna była sprawa. Była grubiańska i zuchwała. Zebrała już sporą sumkę za śniadania i pożyczła niektórym pieniądze na procent.

W dniu wypłaty miesięcznej zostawała dłużej w biurze, aby żądać zwrotu umówionej raty. Nie zapłacić jej — było niemożliwym, boby się dowiedział dyrektor lub dyrektorka o tym długu. Ona korzystała ze strachu telegrafistek i rządziła nimi despotycznie. Jedna ubierała jej kapelusze, druga podarowała parę rękawiczek, trzecia pożyczyla medalion złoty, gdy szła na tańce. Służąca traktowała je, jak koleżanki, mówiła im „ty”, a one wstydziły się i czerwieniły...

Od pierwszego dnia deszczu zaczęły się psuć linie, zwykły kłopot jesienny i zimowy telegrafów.

Najpierw przyszła depesza służbowa, oznajmiając, że z powodu deszczu nie widzi wyspy Ponza i Ventotene. Niebawem Massalubrense doniosło, że nie widzi Capri. Po upływie trzech dni linia wysp przechodząca z Pozzuoli przez Ischię, Forio d'Ischia,

Casamicciola i Procida, nawpół podmorska, wpół powietrzna, zaczęła się psuć. Prąd biegł nierówno, korespondowano z trudnością. Wieczorem zepsuła się do szczętu. Nikt nie odpowiadał.

Cała w zadumie, wice-dyrektorka poszła do drzwi sekcji męskiej, przywołała zarządzającego zmianą i rzekła:

— Komunikacya z wyspami przerwana.

— A dużo depesz?

— Siedem.

— Nic wielkiego. Poślemy je pocztą.

W tym deszczu ustawicznym, przepajającym wilgocią powietrze, ulice, osoby, szaty i dusze — służba w telegrafii była aktem cierpliwości niewyczerpanej.

Przychodząc, telegrafistki spoglądały na niebo i wzywały korespondenta. Niekiedy szło wszystko dobrze z początku, przez jedną, dwie godziny. Naraz znaki znikaly, a dziewczyna myślała:

— Otóż masz! Panuo Święta, wspieraj mnie!

Najczęściej jednak szwank ujawniał się już od rana. Korespondent mówił „dzień dobry”, a w Neapolu go nie słyszano. Neapoli przesyłał „dzień dobry”, a korespondent nie słyszał.

Siedem godzin służby przechodziło w ciągłym natężeniu, w nadaremnych usiłowaniach zrozumienia lub dania znaku o sobie.

— Na miłość Boską szeptała dziewczyna, bateria nasza jest za słaba.

— Mam już trzydzieści elementów więcej! — odpowiadała zrozpaczona dyrektorka. Cóż ja ci poradzę?

— Mało, mało! Otranto mnie nie słyszył!

Prąd szedł kapryśnie, to słaby, niby umierający, to naraz zolbrzymiały na chwilę. Fluid potężny, którego trochę miedzi, cynku lub kwasu siarczanego wyzwala; fluid, niewytłomaczony dotąd — wielka siła

przyrody, niezbadana a olbrzymia jak światło, jak ciepło, prąd elektryczny, siła, wola, myśl — był chory, zagrożony na siłach i na potędzie. Wstrząsały nim dziwne konwulsye, przed którymi maszyny zdawały się pękać. Wybijał w metalu głosy twarde, suche, powtarzane ciągle, jakby wzywał pomocy. A potem następowało niby osłabienie, w którym nożyk maszyny drżał ciągle.

— Proszę pani, proszę pani — rzekła płacząc Aneczka Pescara. Bologna napewno mi coś mówi, ale znaki nie dochodzą.

Regulowało się maszynę, system zegarowy, nstawiało nożyk na warcie. Podobna była teraz do przerafinowanego organizmu ludzkiego, w którym odbywa się ciągle drganie, w którym nerwy odczuwają najłżejsze podrażnienie.

Wtedy pokazywały się jakieś znaki, oderwane słowa, poszarpane zdania, jakby w agonii. Ogłaszano zepsucie, aby nie być odpowiedzialną.

— Zepsuło się na linii Bologna.

Telegrafistka wszakże nie ruszała się z miejsca, próbując ciągle, mając nadzieję, że się uda! Chwila prądu jest rzeczą tak dziwną! Co chwilę może ustąpić na godzinę lub na cały dzień.

W tej niepewności przepędzała godziny na wysiłkach bezużytecznych. Próbowwała bezustanku, z niewyczerpaną odwagą, z rezygnacją czysto młodzieńczą. Co pewien czas zdawało się słyszeć jakieś głębokie westchnienie.

— Co tobie? — zapytała Caraciolo, rada z nieporządków, bo nie trzeba było pracować.

— Ta linia Catanzaro do śmierci mnie doprowadzi! — odparła Gracya Casale.

W chwilę później:

— Niema komunikacyi z Benevento!

— Cóż tam znów?

— Prąd, jak zawsze.

Ale największym złem były połączenia.

Deszcz, złe utrzymanie drutów, ptak, który usiadł na nich, jakiś drobny wypadek, o który tak łatwo w zimie, wystarczało, aby następowało *połączenie* dwóch linii, idących w jednym kierunku.

Ni ztąd, ni zowąd, gdy się mówiło z Reggio, wyskakiwała Torre Annunziata, znaki się zlewały, mieszały, korespondenci mylili, prądy krzyżowały. I smutny głos Klemencyi Achard mówił cichutko:

— Niema komunikacyi z Reggio... Nastąpiło połączenie z Torre Annunziata.

. . . . .

Dwunastego listopada przestało padać, ale niebo było zachmurzone i szare, prawie czarne na granicy widnokregu, za wzgórzem San Martino.

W obłokach zagrzmiąło głucho, przeciągle; mignęła błyskawica.

O czwartej zjawił się zarządzający zmianą. Stał ze znużoną, skłopotaną twarzą w progu, wezwał wice dyrektorke i powiedział:

— Niema komunikacyi z Sycylią.

Spojrzeni na siebie oczami, w których wypisało się zmartwienie. Wice-dyrektorka oznajmiła podwładnym:

— Niema komunikacyi z Sycylią.

Dziewczęta spojrzęły po sobie i opuściły głowy.

Pomału, pomału, biuro telegraficzne w Neapolu oddalało się od wszystkich krajów, z którymi było połączone.

Od czterech dni nie mieli wiadomości z Wenecyi, która telegramy posyłała do Rzymu. Campobasso nadsyłało depesze pocztą. O Ankonie nic nie było wiadomo. Żadnych wieści z Benevento,

Teraz to odłączenie od Sycylii, która była najważniejszą, wydawało się im zupełnem opuszczeniem.

Dnia tego na wszystkich liniach coś się psuło, nie z powodu wilgoci, lecz przez elektryczność z powietrza, przerywającą znaki korespondencyi.

— Proszę nie dotykać palcami metalu przy sygnałach—ostrzegąła dyrektorka.

Ale tę i ową bawiło wstrząśnienie idące od palców do pulsów, od pulsów do sterownic, a które, ażeby uczuć, dość było dotknąć rączki sygnalizatora.

— Borelli, Borelli, ostrożnie, nie żartuj z wyładowaniami elektrycznymi, możesz być zabita przez piorun!

— Proszę pani, to się tylko tak mówi.

Marya Immacolata Concetta Santaniello robiła znak krzyża przy każdym grzmocie, a usta jej poruszały się ustawicznie, jak w modlitwie. Peppina de Notaris przy każdej błyskawicy cofała się z lekkim poruszeniem bojaźni. Peppina Sanna miała drgawki nerwowe w twarzy, jakby iskra elektryczna po niej przeleciała. Zofia Magliano, po daremnych usiłowaniach rozmówienia się z Cosenzą, rozprawiła z Maryą Morra o tej pięknej Adelinie Marko, która w lipcu podała się do dymisyi, a w sierpniu została szczęśliwą żoną młodego handlowca z Salerno. Pożegnała karys sercowy, ciągnący ją do wdowca czterdziestoletniego, i była bardzo zadowolona teraz, jak pisała do dyrektorki.

Obecnie pięknością sekcji żeńskiej była Agnieszka Costa, wysoka, smukła, z białą szyją, białem czołem i wielkimi oczami szaremi.

I Emma Torelli była narzeczoną urzędnika z telegrafu, a ślub miał się odbyć za pięć lub sześć miesięcy.

Rozmawiały o tem nieco nerwowo, podniecone

bezużytecznymi wysiłkami korespondowania, błyskawicami i rzeczami, o których prawili.

Prawdy o tej Juliano nie można się było dowiedzieć. Naraz przestała przychodzić, ale trzy czy cztery razy wzywano ją do dyrekcji, z kąd wychodziła drugimi schodami. Również dyrektorka udawała się parokrotnie na długie konferencye z dyrektorem, a wracała z twarzą wzburzoną i wargami bledszymi jeszcze, niż zazwyczaj.

Był to jakiś wypadek, który rzucił cień na całą sekcję żeńską. Coś niejasnego, co jednak głęboko się czuło. I pomyśleć, że była tak brzydka!

Ale cały chaos znaków pojawił się w tej chwili na linii Cosenza i Catanzaro, gdzie siedziała Marya Morra i Zofia Magliano. W chwilę potem wice-dyrektorka oznajmiła:

— Piorun uderzył w słup telegraficzny koło Salerno. Połączenia w Cosenza, Catanzaro, Reggio, Potenza i Lagonegro.

Sześć linii przewrócono w jednej chwili, ale maszyny nie milkły. Potop dźwięków i hałasów drżał ustawicznie. Pomiedzy metalowemi częściami maszyn błyskała słaba iskra.

Izolatory również błyszcząły od iskier.

Naraz weszła dyrektorka, ubrana czarno, z czarną krepową woalką na kapeluszu i w czarnych rękawiczkach. Oczy miała czerwone i nabrzmiałe.

Zaczęła pocichu rozmawiać z wice-dyrektorką. Dziewczęta pobladły nagle, nie troszcząc się już o elektryczność.

Zapewne wracała *z tamąd*, gdzie była z resztą telegrafistek.

Nie śmiały pytać, co się *tam* stało.

Błyskawica przemknęła po niebie, zagrzmiało głośno, i piorun upadł w mieście.

Wszystkie maszyny zaszczękały. Na izolatorach pokazał się płomień.

We drzwiach sekcyi męzkiej stanął naczelnik zmiany i krzyknął:

— Burza. Niebezpieczeństwo grozi. Linie na ziemię!

Wice-dyrektorka zawahała się na chwilę przed krokiem tak ryzykownym, do którego bardzo rzadko się ucieka. Wtem uderzył nowy piorun, jeszcze bliżej.

— Linie na ziemię!—rozkazał naczelnik.

W chwilę później cisza zaległa biuro.

Neapol był odłączony.

Sygnalizatory, maszyny, izolatory wyglądały, jak dotknięte śmiercią. Prąd umarł.

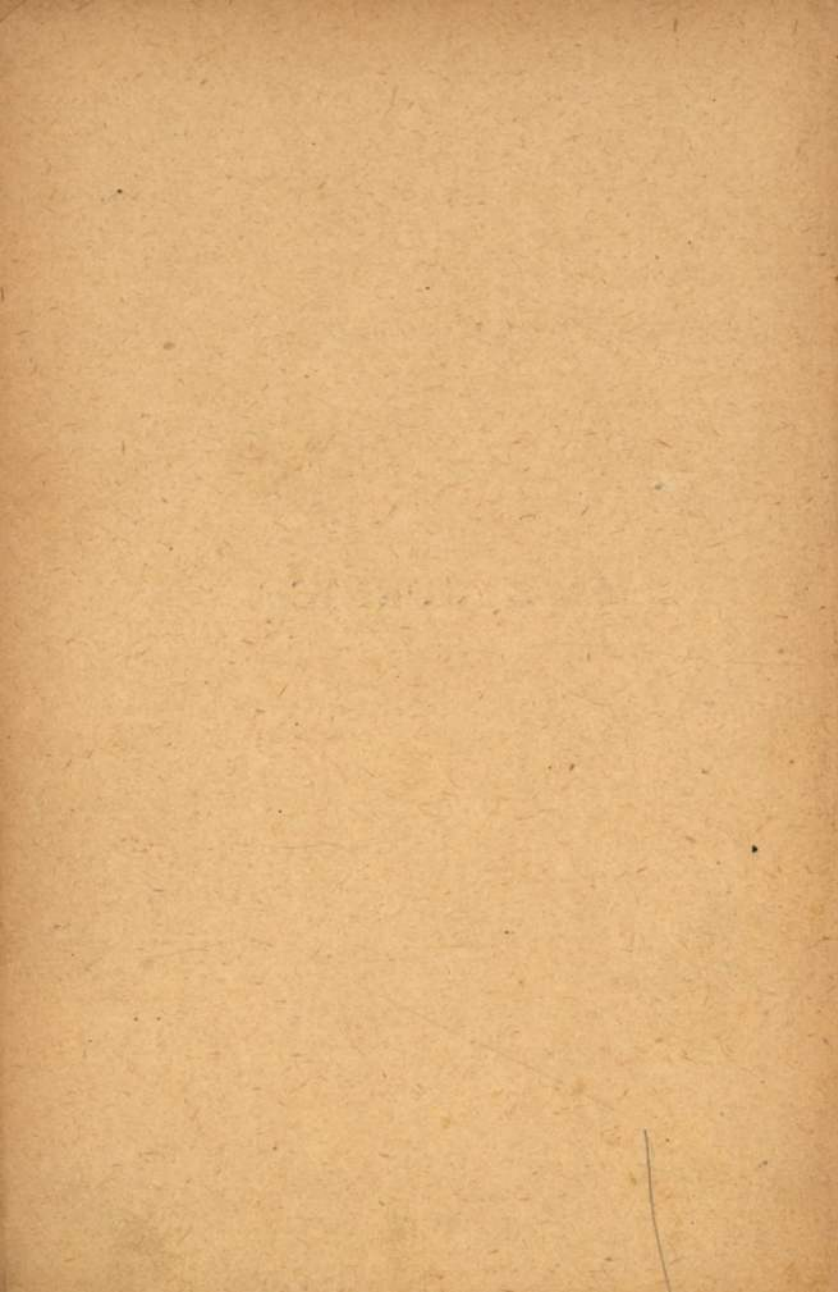
A dokoła dyrektorki, która wróciła z cmentarza, ugrupowały się telegrafistki, oplakując śmierć Maryi Vitale.

---





**ZA ZAKONNICE.**



## I.

Nucąc piosenkę popularną, Ewa Muscellola krzątała się dokoła długiego stołu, zarzuconego przyborami do szycia. Rzuciła na wszystkie strony żywemi, lecz krótkowzrocznymi oczami, czy przypadkiem czego nie brakuje.

Za paskiem czarnej, jedwabnej sukni miała pęczek bladoróżowych róż, napół rozkwitłych, podobnych do jej piękności — niezupełnie jeszcze rozwiniętej, a już potężnej.

Nuciła i kładła igły do srebrnego igielnika Julii Capece, której zawsze czegoś brakowało do szycia.

Nagle weszła Tekla Brancaccio energicznym, męzkim krokiem, ubrana po męzku, ze szpicrutą do konnej jazdy.

— O, drogi, drogi mój narzeczony! — zawołała Ewa, zobaczywszy ją. — Jesteś punktualna! jak młodzieniec, dążący na schadzki. Przyjechałaś wierzchem? Jakże się ma „Gipsy?”

— Doskonale, jeśli nie liczyć, że zgubił podkole wczoraj — odparła Tekla nieco szorstkim głosem, ściągając długie, zamszowe rękawiczki i wrzucając je do filcowego kapelusza.

— A co porabia Carlo? — zapytała półgłosem ze współczuciem Ewa.

— Naturalnie, jak najgorzej. Wczoraj pojechał za nią do Paryża.

I kręciła oryginalną żelazną brasoletkę.

— Czemu się upierasz, Teklo? Carlo cię lubi, ale ona silniejsza od ciebie, droga moja.

— Kto wiel

— Nie widzisz, że zawsze zwycięża? Jest piękna, blondynka, umie płakać, jest pełna wdzięku, kocha Carla, jak szalona...

— I ja kocham Carla.

— Tak, ale mężatki są silniejsze od nas, panien—odparła Ewa z nieświadomą filozofią.

— Być może, ale nie ustąpię.

— I cóż uczynisz?

— Będę czekała.

Na bladym czole, w szarych oczach, koloru lśniącego metalu, w zaciśniętych ustach czytało się cierpliwość, siłę i wolę niewzruszoną, utrwalającą się jeszcze w oczekiwaniu.

Szybko, nie mówiąc nic więcej, Tekla siadła na swem miejscu, wyciągnęła robotę i pogrzyżyła się w szyciu, nie podnosząc głowy nawet wtedy, gdy weszła Julia Capece i Chiarina Althan. Robota i myśli pochłonęły ją zupełnie.

— Czy przyszło nareszcie pudełko z Wiednia?—zapytała Ewa Julii, odbierając jej futerko i uśmiechając się do Chiariny.

— Ah, gdyby nigdy było nie przyszło! — wykrzyknęła piękna dziewczeczka, żywa, jak iskra. Tyle ciekawości, tyle oczekiwań! Czytałaś przecież list z Wiednia? Zdawało mi się, że siedem cudów świata będzie w tem pudełku! Krawcowe wiedeńskie żartują sobie z nas chyba. Czy nie mamy gustu, oczów i inteligencji, że poważają się przysyłać nam szafirowe suknie z różowem?

— O, Jezul!—wykrzyknęła Ewa, zgorziona.

— Potem kapelusz z zieloną, wypchaną papugą — dodała Chiarina ze swym zagadkowym uśmiechem. — Zdaje się, że to papuga ciotki Julii, poświęcona dla związków rodzinnych, część sukcesyi. Gdy włożysz ten kapelusz, Julio, obejdziesz wszystkie przyjaciółki, aby ci mogły wyrazić współczucie.

— Nie włożę go nigdy, nigdy! — wykrzyknęła Julia, prawie ze łzami w oczach. Podaruję go pokojówce.

— A ciotka cię wydziedziczy — dodała Chiarina ze śmiechem.

Julia wzruszyła ramionami. Była biedna, pochodziła z bardzo dobrej, obciążonej długami rodziny: Liczyła tylko na swą piękność, że z jej pomocą wyjdzie dobrze zamąż. Wszyscy starzy przyjaciele domu, ciotki zagraniczne, powiernicy byli wprawieni w ruch, by znaleźć miliony dla tej prześlicznej istoty, która tymczasem, w oczekiwaniu, wydawała dochody na stroje.

Julia zaczęła szyć niechętnie koszulkę dla dziecka. Szyła wielkimi ściegami, urywając co chwila nitkę, spoglądając ustawicznie w lustro, naprzeciw którego siedziała. Jej smukła kibić schylała się, jak łodyga kwiatu; długie, ciemne rzęsy rzucały delikatny cień na policzki, różowa buzia wyglądała jak pąk granatu.

Obok niej Chiarina Althan krajała perkalik w białe i różowe paski na fartuszek dla dziecka. Jej twarzyczka, nie piękna, lecz tryskająca inteligencją, jej oczy spokojne a głębokie, zamyślane usta pochylały się nad materyą, pełne uwagi i zajęcia, jakby czytała książkę lub przyglądała się obrazowi.

Tymczasem Ewa umieściła się również przy stole i zaczęła obrębiać koszulki. Tekla Brancaccio zaś wielkimi cięciami nożyczek odrznęła niepotrzebny kawał materacu, który szyła.

Weszły siostrzyczki Sannicandro, trzymając się pod ręce. Wyglądały, jak dwie laleczki porcelanowe, białe, różowe z zadartymi noskami i dużymi warkoczami, miały pozór dzieci, pomimo skończonych lat piętnastu. I jednocześnie zaczęły recytować, jak dzieci przed nauczycielką:

- Dzień dobry, Ewo, papa ci się kłania.
- Dzień dobry, moja droga, dziękuję.
- Dzień dobry, Ewo, mama ci się kłania.
- Dzień dobry, kochaneczko, dziękuję.

Zdjęły jednakowe paltociki i kapelusze. Były ubrane w czarne, jedwabne sukienki. Po chwili milczenia zaczęły znów lekcję:

- Jak się miewa mama twoja, Ewo?
- Dziękuję ci, moja droga. Była wczoraj na balu i śpi teraz.
- Jak się miewa papa twój, Ewo?
- Dziękuję ci, pojechał na polowanie.
- Jak się ma brat twój, Ryszard, Ewo?
- Doskonale, ale jest na wsi.

I podała siostrzyczkom, spoglądającym na siebie z zadowoleniem, kilka kaftaniczków dzieciennych do obrębiania. Specjalnością sióstr Sannicandro w tej wielkiej pracowni ubrań dla podrzutków było obrębianie. Obrębiały codziennie, bezustannie, bez końca. Kilometry obrębów wychodziły z pod tych rączek pracowitych. Były zawsze zadowolone, co chwila podnosiły głowę, by zapytać:

- Czy masz białe nici, Ewo?
- Czy masz małe nożyczki, Ewo?

Marya Gulli-Pausania weszła powoli, krokiem bóstwa olimpijskiego. Nadstawiła policzek Ewie, która podbiegła do niej, policzek śniady i chłodny dumnej Sycylianki. Raczyła skinąć głową Tekli, Julii i Ghiarinie Althan, siadła na krzesło z odmierzoną harmonią ruchów, przysunęła stół z robotą i zaczę-

ła znaczyć czerwoną bawełną sztuki bielizny, które jej przyjaciółki podsuwały.

Pracowała z powolną uroczyością, z wielkopańskimi gestami, jakby zniżając się do roboty i uważając za niezmierną łaskę, że dzieci te będą miały szczęście nosić bieliznę, własnoręcznie znaczoną przez nią, Maryę Gulli-Pausania. której rodzina szła po królewskiej, która posiadała dwa księztwa, trzy margrabstwa, cztery kopalnie siarki i całą prowincję cytryn i pomarańcz.

Ściągnęła brwi, gdy zobaczyła Elfrydę Kapnist, wbiegającą w podskokach. Węgierka, o wielkich, czarnych oczach, dzikich i błyszczących, o ciemnych włosach, których żadne grzebienie nie mogły utrzymać w porządku, o twarzy bladej, jakby zgaszonej, nosiła paltocik oryginalnego żółtawego koloru i suknię nieco za krótką, z pod której widać było maleńkie nóżki.

Przyjęły ją uśmiechy mniej lub więcej uprzejme. Nawet Ewa była nieco zakłopotana. O tej Elfrydzie mówiono dużo złego i wiele dobrego. Była to cyganka, zbiegła z plemienia; była córką konsula, dobrze urodzona, ale biedna; miała wiele dóbr skonfiskowanych; matka jej była Radziwiłłówna z domu; kazała młodym ludziom płacić za swoje suknie; księżna Mercede z łaski darowywała jej ubrania.

Wszystkie te sprzeczności, jej szatański duch, jej niewyczerpana wesołość, jej swobodna nieco oryginalność sprawiały, że bywała wszędzie trochę zapraszana, trochę tolerowana, trochę źle przyjmowana, ale zawsze obecna, zawsze wesoła, obnosząc białe ząbki cyganki, tańcząc po ealnych nocach, nie troszcząc się o stare ubranie, o prane rękawiczki i potargane włosy.

Ucałowała żywo Ewę w oba policzki i siadając do szycia, oznajmiła:

— Olga Bariatyn wychodzi za Maksyma.

Wszystkie podniosły głowy, nawet małe Sannicandro.

— Czy napewno?—zapytała Tekla.

— Napewno. Ślub będzie w maju. Olga chce jechać do Rosyi w podróż poślubną.

— Olga musi być bardzo zadowolona?—zapytała Ewa, z troskliwą czułością osoby, życzącej dobrze wszystkim.

— Uszczęśliwiona. Wczoraj Maksym został u nich do północy. Nigdy jeszcze tego nie robił.

— Biedna Olga!—westchnęła Julia Capece. Z takim posagiem wyjść za Maksyma.

— Gra... Brat mój co rok spotyka go w Monte-Carlo—szepnęła Ewa, zamyślając się.

— Nudny, jak lukrecya—dodała Chiarina Althan.

— Jakże przyszło do tego małżeństwa? Daunowie są bardzo dobrą rodziną, a któż zna Bariatyków?—zapytała Marya Gulli-Pausania, spoglądając na ręczniki kuchenne, które jej podsunęto, jakby niepewna, czy i tę ofiarę uczynić dla miłosierdzia.

— Naturalnie; jaśnie wielmożny Maksym Daun nie mógł znaleźć przyjaciela, któryby mu pożyczył pięćkroć sto tysięcy franków, ani wierzyciela, któryby mu zaufał, i zdecydował się przyjąć gorącą miłość Olgi Bariatyn, która prócz tego jest piękna, bogata i dobra.

— Ale niechętnie, bardzo niechętnie!—wykrzyknęła Elfryda.—Dziś w nocy piorunował między młodzieżą, piorunował na małżeństwo, na małą Rosyankę i na całą rasę słowiańską.

— Okropnel!—zawołała Ewa.—Nie chciałabym wyjść zamaż za tę cenę, nawet za człowieka, którego bym kochała.

— Dlatego, że nie kochasz—zauważyła spokojnie Tekla.



Angiolina Cantelmo weszła z bladym uśmiechem. Była to osobka blada i delikatna, o szafirowych oczach i policzkach, ledwie krwią zabarwionych, jakby z przejrzystej porcelany japońskiej. Należała do najstarszej, najszlachetniejszej rodziny neapolitańskiej, do domu Cantelmo, który słynął z tradycyjnej dobroci, piękności, znaczenia i szlachetności. Od dwunastu lat wszakże nieprzerwany ciąg nieszczęść spadał na rodzinę. Marniała moralnie i materyalnie.

Legenda mówiła o pokucie za jakąś zbrodnię, na okupienie której nie wystarczało męstwo i odwaga mężczyzn, dobroć, pobożność i uroda niewiast. Co rok jakiś lub jakaś Cantelmo umierała śmiercią gwałtowną.

Nieszczęście porwało matkę Angioliny, a brat jej i siostra, śliczne, białe i różowe dzieci, dotknięte już były suchotami.

Co do niej samej, przed dwoma laty dano jej narzeczonego, Jerzego Serracapriola, pięknego, eleganckiego, bogatego młodzieńca, sceptyka i niedbałego.

Ona, dobre i posłuszne dziewczę, zaraz zaczęła go kochać.

Tymczasem, z powodu nieporozumień pieniężnych pomiędzy ojcami młodej pary, małżeństwo zerwano. Jerzy pojechał w yachcie w podróż, obojętny w duszy. Ona milczała, nie skarżyła się nigdy, uśmiechała się do każdego, tylko z dniem każdym stawała się przejrzystsza i delikatniejsza. Zawsze było jej zimno i mówiła pocichu.

Powiedziała Ewie, że pierwszego grudnia może liczyć napewno na otwarcie przytułku, ale że wprzód trzeba ochrzcić osiem, czy dziesięć dziewczynek. Trzeba więc znaleźć matki chrzestne, uprosić arcybiskupa i wybrać kaplicę prywatną.

Wszczęła się ogólna rozmowa. Każda z pracownic chciała być matką chrzestną, nawet obie Sanni-

candro, nawet Elfryda Kapnist, którą posądzano, że jest protestantką, tureczynką, albo jeszcze gorzej.

Jedynie Marya Gulli-Pausania odmówiła. W rzeczywistości samej, nie mogła być matką chrzestną jakiejś przybłądy.

— Czy nie mogłaby się ceremonia odbyć w kaplicy Cantelmo?—spytała Ewa Angioliny.

— Owszem, jeśli chcecie. Ale dzieci będą się bały. Nasza kaplica jest taka smutna, a przytem tak tam zimno, tak zimno!

— A przecież słuchacie tam mszy co niedzielę!

— Z obowiązku. Ja wolałabym jakikolwiek kościółek, do którego wchodziłoby słońce. Papa dostaje zawsze reumatyzmu, gdy ztamtąd wychodzi, a mama kaszle.

— Ale ty nie kaszlesz, Angiolino?—spytała troskliwie Ewa.

— Ja? Nie, nigdy. Czuję się doskonale.

I uśmiechnęła się słabo, pochylając nad robotą.

— Oto oblubienica! Oto narzeczone! — wykrzyknęła Anna Doria, wciągając za sobą Olgę Bariatin, pulchną blondyneczkę, o ustach różanych i słodkich, szarych oczach.

Narzeczone spuszczała głowę, cała zmieszana, całując przyjaciółki, które ją okrzyły ze łzami w oczach.

Ewa objęła ją za szyję, szepcząc półgłosem:

— Niech Bóg czuwa nad tobą, niech Bóg czuwa nad tobą, o droga, droga moja...

— Wiecie, panie, dlaczego Olga wychodzi za mąż tak prędko i podług swej woli?—spytała Anna Doria, gdy znów zajęły miejsca i wzięły się do pracy.

— Prawdopodobnie dlatego, że zasługuje na to...—podpowiedziała Chiarina Althan.

— Ale gdzie tam! — krzyknęła Anna, stojąc na środku pokoju.

— Bo jest taka dobra, taka miła—dodała Ewa.

— I to nie! — zagrzmiała Anna. — Wszystkie mniej więcej jesteśmy dobre i miłe... a jednak... tyle z nas starzeje się w dziewictwie. Nie mówię zresztą już o tobie. Wiecie dlaczego? Oto Olga wychodzi zamąż tak prędko i podług swojej woli, bo nie ma mamy. Nam przeszkadzają nasze mamy.

— Oh, oh, oh, Anno! — zawołały wszystkie zgorzzone.

— Co ci do głowy strzela? — spytała Chiarina Althan.

— Co mi strzela? Owszem, mamy są dobre, kochające, nie przeczę temu, pomimo moich domniemanych „ekstrawagancyj.” Ale mamy nasze są naturalnemi nieprzyjaciółkami naszego małżeństwa. Za młode? Mają prawo błyszczeć w świecie, zamykają nas w domu, każą nosić krótkie sukienki do siedemnastu lat, bo im robimy konkurencyę. Za stare? Nie znoszą towarzystwa, nie chcą bywać, gwar je drażni, szczęście innych jest im obojętne, są samolubne, są stare! Za eleganckie? Konkurenci obawiają się eleganckich teściowych. Za surowe? Odstraszą każdego, co chciałby brać życie nieco lżej. Jedna ma pretensye szlacheckie, druga jest nieubłagana na punkcie pobożności, inna chce, żeby z nią mieszkać, jeszcze inna, żeby wyjechać na wieś. Tej niepodobają się blondyni, tamtej za szczupli. I żegnaj małżeństwie! Zapewniam was, drogie przyjaciółki, że te, co mają jeszcze matki, a zdołają wyjść zamąż, dokonywają dzieła cudownego!

Brzydka, trzydziestoletnia panna, o białych, lekko uróżowanych policzkach, co było jedną z jej „ekstrawagancyj,” wypowiedziawszy to, rzuciła dokoła wzrokiem tryumfu.

Panienki opuściły głowy, nie odpowiadając, do-



tknięte w dobrych uczuciach, w szacunku dla matek, który żywiły w sercu.

Wszystkie myślały o tragikomedyi domu Doria. Matka, przepadająca zbyttnio za uciechami, trzymała Annę w ukryciu aż do lat dwudziestu. Naraz przemieniła się w bigotkę, ze wszystkiemi wadami wieku podeszłego: ze skąpstwem, despotyzmem, plotkarstwem. Anna wzrosła w buntowniczym usposobieniu. kłóciła się z matką o byle co, gwałtownie; czuła, że jest brzydką, niemiłą i mściła się zato, dotykała złośliwością wszystkich, ale najbardziej matkę, „stare zwierzę.” jak ją nazywała.

Wszystkie cierpiały z powodu słów brutalnych Anny. Ale małe Sannicandro, które co wieczór, udając się na spoczynek, całowały papę w rękę i odbierały błogosławieństwo od mamy, spoglądały na siebie poblądłe, z buziami wykrzywionemi, jak u dzieci do płaczu.

Żadna się nie odzywała.

Ewa, która miała charakter najbardziej otwarty, usiłowała złagodzić wrażenie słów Anny.

— Anna chce się wystawić gorszą, niż jest w istocie, ale, moja droga, nikt ci nie wierzy. Mamy kochają nas na swój sposób. My nie powinnyśmy ich sądzić.

— Doskonale robisz, Ewo! — odparła złośliwie Anna Doria, szukając nożyczek.

Ewa poblądła i zamilkła, zraniona. Wielkie zaniepokojenie zaległo między pracownicami. Żadna nie śmiała przerwać ciszy.

Wreszcie Julia Capece rzekła do Olgi:

— Zkąd sprowadzasz suknie do wyprawy? Spodziewam się, że nie z Wiednia?

— Nie sprowadzaj z Wiednia—podchwyciła Chia-rina, korzystając ze sposobności, aby zmienić przed-

miot rozmowy. Wyobraź sobie, że Julii przysłano kapelusze z wypchanym kogutem!

— Oh, z kogutem!...—zawołała z wymówką Julia, szczerze zmartwiona przygodą z kapeluszem wiedeńskim.

Olga oznajmiła przyjaciółkom, że wszystko sprowadza z Paryża. Bieliznę haftowano już w klasztorze, kładąc wszędzie jej dewizę: *for ever*. O sukniach nie pomyślała jeszcze, ale balowe będą od Wortha, sportowe od Reussa, a ranne od Karoliny.

Panienki przestały szyć i słuchały z zajęciem, mając przed oczyma wizye materyi, aksamitów i koronek.

— A kaftaniki jedwabne? — zapytała Elfryda Kapnist.

— Nie wiedziałam, że znów są modne — odrzekła Olga.

— Ogromnie. We wszystkich kolorach: kremowe, różowe, niebieskie. Wszystkie damy wielkiego świata... i półświata je noszą.

Olga nie odpowiedziała. Marya Gulli-Pausania zmarszczyła brwi i usunęła się, aby nie dotykać suknią krzesła Elfrydy. Więc ta wiedziała, co mówią między sobą młodzi panowie i co noszą panie... zbyt głośno.

Olga po chwili podjęła rozmowę, mówiąc, że Maksym zechce zapewne robić jej prezenty z brylantów, ze sławnych brylantów rodzinnych Daunów.

Ale ona nie chce stanowczo. Wychodzi z zamiarem miłości, nie dba o klejnoty.

Dziewczęta, nie przestając szyć, potakiwały z uśmiechem. Każda myślała, jak dobrą i naiwną była Olga. Sławne brylanty Daunów Maksym zastał, a potem sprzedał. Był utracyszem, bankrutem,

który nie mógłby narzeczonej ofiarować nawet srebrnej obrączki.

Nastąpiła chwila ciszy. Wszystkie pracowały, zdjęte nagłą gorliwością. Pomyślały o osiemdziesięciu opuszczonych dzieciach, które z rąk ich miały odzież otrzymać.

Dobra Ewa, najżywiej odczuwająca niedolę, powiedziała im, że nie dość dawać jałmużnę, że trzeba wkładać w nią własny czas i własną robotę, słowem, żeby poświęciły dwie lub trzy ranne godziny aż do drugiego śniadania na pracę dla biednych istot bez chleba, bez dachu, bez odzieży.

To codzienne zajęcie sobą i innemi zadowalało potrzebę ruchu i uczucie altruizmu, silnie rozwinięte w Ewie, i wypełniało jej pustkę dnia. Żyła samotnie, z matką, ukazującą się i znikającą pomiędzy jednym a drugim balem, przesypiającą pół dnia, często obiadującą w swoich apartamentach — za młoda była dla każdej córki.

Ojciec, zawołany sportowiec, jeździł z polowania na polowanie lub wyścigi. Brat ciągle podróżował do Monte Carlo, Badenu lub Paryża. Wszyscy oni kochali Ewę, ale na swój sposób, w przerwach swobodnych od ulubionych zajęć. To zaś nie wystarczało jej gorącemu sercu i namiętnej potrzebie kochania.

Ażeby się odurzyć, oddała się tej pracy miłosierdzia i pełniła ją z całą żarliwością i rozkoszą dusz szlachetnych, nigdy niestrudzonych w miłości i dobrych uczynkach.

Dużo trudu trzeba było włożyć w przekonanie przyjaciółek i połączenie żywiołów tak sprzecznych, jak np. Marya Gulli Pausania, której żadna znieść nie mogła za jej tony, i Elfryda Kapnist, o pozorach tak dziwnych i dwuznacznych.

A te, co wchodziły teraz pod rękę, Giovanella

Sersale i Felicetta Filomarino, nigdy nie umiały stać się na czas. Zjawiały się zawsze w ostatniej godzinie, roztargnione, rozmawiając półgłosem z sobą. Tajemnicę Giovanelli wszyscy znali. Miała wyjść za Franciszka Montemiletto, ale on, nadskakując jej przez dwa lata, ożenił się w końcu z młodszą siostrą, Candidą.

Giovanella nie mogła przeboleć tej zdrady. Nie chciała słyszeć o innych konkurentach i postanowiła nie wychodzić zamaż. Ni ztąd, ni zowąd powstała ogromna przyjaźń pomiędzy nią a Felicettą. Chodziły zawsze razem, często miały oczy czerwone, jednak melancholia je toczyła.

Jaki był sekret Felicetty? Pochmurna, skupiona w sobie, nie zwierzała się przed nikim, chyba przed Giovanellą. W samotnych rozmowach oplakiwały razem swą młodość przekwitłą.

Obecność ich nadała charakter poważny zebraniu panien. Każda, przykładając się gorliwiej do pracy, myślała o własnem strapieniu.

Tekla wspominała nierówną walkę z zawsze zwyciężką rywalką, Julia Capece — piękność swą, którą wszyscy uwielbiali, a nikt nie chciał zaślubić. Chiarina Althau — inteligencję swą, marniejącą w płętkiem i pustem otoczeniu.

Elfryda Kapnist — wieczne ubóstwo, narażające ją na tyle upokorzeń. Angiolina Gantelmo — klątwę, ciążyącą nad ich domem. Anna Doria — marny swój żywot bez nadziei. Ewa Muscettola — niezaspokojoną potrzebą kochania i czucia się kochaną.

Dwie małe Sannicandro jedynie były szczęśliwe, bo miały dziś pojechać na spacer z mamą i papą. I Olga Bariatyn była ogromnie szczęśliwa: kochała tak bardzo Maksyma i wreszcie odbierała dowód jego miłości. I Marya Gulli-Pausania czuła się bardzo

szczęśliwą, gdyż inaczej być nie mogło z potomkinią królów sycylijskich.

— Litości, litości! — wykrzyknęła Eugenia Aragońska, wchodząc i rzucając kapelusz w górę. — Pokutujecie panie za grzechy? Chcecie, żebyśmy się umartwiały i płakały wszystkie razem? O, Ewo Ewo, cóżes uczyniła?

— Ależ nic, najdroższa, pracujemy.

— Umrzecie od tej pracy! Chcecie chyba zrujnować zdrowie, oczy i ręce. Wpadniecie w *spleen* przy tem szyciu! Dzieci będą odziane, ale wy napewno poschniecie od tej pracy!

Rzuciła się na krzesło, założyła nogę na nogę i wyrwała robotę z rąk Angioliny.

— I ty, mniszeczko! Czemuż nie poślecie pieniędzy, dużo, dużo pieniędzy tym dzieciom, zamiast się tak męczyć! Dam ci tysiąc lirów, Ewuniu, ale rzuć to grube płótno. Dziś zaraz powiem papie, żeby ci przysłał tysiąc lirów. Przestań, Ewuniu, przestań. Czyż dobrze urodzone panienki szyją? Ja nie umiem szyć!

— To dziwne! — zauważyła złośliwie Anna Doria.

W rzeczy samej Eugenia Aragońska, mająca sześćdziesiąt milionów posagu, łącząca w sobie herby rodziny Aragońskiej, Ognatte i Meksykańskiej, spokrewniona z Bourbonami w Hiszpanii, z książętami Orleańskimi we Francji, posiadająca ziemie w Europie i Ameryce, była córką księcia Aragońskiego i szwaczki. Piękna i dobra księżna Aragońska, dotknięta bezpłodnością, uwielbiając męża i widząc, że olbrzymi majątek dostanie się w ręce niegodnych krewnych, sama żądała, aby mąż adoptował córkę biednej szwaczki. Tym sposobem istota ta z ulicy dostała się prawie na tron, ubóstwiana przez ojca i dziwnie ukochana przez matkę przybraną. Zachowała szorstką nieco prostotę, której żadne wychowanie angielskie nie



mogło zmienić, i szczebiotliwą dobroć nabyła zaś nieopatrzną rozrzutność osoby, nie umiejącej liczyć. Pochodzenia się nie wstydziła i złośliwość Anny Doria pobudziła ją do śmiechu.

— Panienki, jedźmy do domu, na drugie śniadanie! Skończcie z temi dziećmi bez koszulek. Po wiem mamie, to nam przysła sto uszytych już koszul! Ewo, mam tu powóz, pojedziemy w pięć, w twoim—drugie pięć, a ty, Maryo, pewno też przyjechałaś — nie ruszasz się bez powozu, jesteś grandessa hiszpańską pierwszej klasy. Pomieścimy się wszystkie, będziemy wyglądały, jak szkoła!

I aby je przekonać, zawisła na szyi Chianny Althan, zrobiła *tour* walca z Ewą, pocałowała kilkakrotnie Olgę Bariatyn, poprzewracała wszystkie igielniki i przybory. A jej żywość gminna była tak zaraźliwa, tak świeża i młodzieńcza, że promień słońca przeniknął wszystkie serca i znów zabłyśły radosne uśmiechy.

## II.

Złocista raca strzeliła z portu, zakreśliła parabolę na gwiazdzistym niebie wiosennem, opadła w morze i zagasła.

Po tym sygnale sznur ogni bengalskich zapłonął wzdłuż statku admirałskiego „Roma”, a za nim inne ognie na reszcie statków, korwet, łodzi i bark. Wszystkie te „Niepokalane Madonny”, „Opatrzności Boskie”, których pełno jest w porcie Castellamare, oświetliły się kolorowemi światłami, tak, że morze przybrało wygląd fantastyczny, a olbrzym z drzewa i żelaza, malowany na czerwono, „Italia”, miał pozór

ciężkiego bóstwa morskiego, milczącego, nieruchomego i tryumfującego, któremu wszyscy składają ofiary.

Na statku admirałskim, po ustaniu ogni sztucznych, tańczono zawzięcie. Admirał Gaston, wysoki i tęgi, olbrzym prawie, jego drobna, milutka żona, dwie najstarsze córki, po lat piętnaście, ubrane szafirowo, z szerokimi kołnierzami marynarskimi, odsłaniającymi białe i delikatne szyjki; rodzina ta, marynarska do szpiku kości, zaprosiła całą arystokrację neapolitańską i okoliczną, dygnitarzy urzędowych i gości, bawiących już w Sorrento przy końcu maja.

Jedna po drugiej ustawicznie przybijały barki, pełne pań i panien, wchodzących z pewną obawą, niepozbawioną zresztą przyjemności. Unikały spojrzeń na czarną powierzchnię morza i oddychały z ulgą, wszedłszy na pokład. Tam nowość i oryginalność widoku działała na nie, pobudzała ciekawość; wydawały lekkie okrzyki podziwu i zadowolenia.

Po bokach stały kanapy i krzesła, ale nikt nie chciał usiąść. Panny i mężatki tańczyły na zabój, a w przerwach zwiedzały statek. Cudzoziemki zaostrywały się w *pliants*, krzesła składane. Młodzież rodzaju męskiego sadowiła się po dwóch i trzech na grzbietach armat. Panie, chcąc się stać interesującymi, udawały, że mają niepewny chód marynarza. Co chwila zapytywały jakiegoś urzędnika:

— A jeśli kotwica się zerwie?

— Mocna, mocna—uspokajał je ze śmiechem.

Na środku pokładu, przystrojonego w kwiaty i flagi, tańczono na zabój, rozpaczliwie, jakby to był ostatni już dzień tańca dla tych pań i młodzieńców.

Eugenia Aragońska, skromnie ubrana w białą wełnę, w kapeluszu pokrytym białymi piórami, w olbrzymich brylantowych kolczykach — który to zbytek dozwolony jest jedynie zepsutym dziewczętom — tań-

czyła ciągle, ciągle, nie zatrzymując się na chwilę, przechodząc z rąk jednego tancerza do drugiego, nie mając czasu odetchnąć. Oczy jej błyszczały, policzki płonęły, bawiła się jak dziecko. Napróżno narzeczony jej, Julian Vargas, prawie tak jak ona bogaty, zakochany po uszy, błagał, aby odpoczęła. Robiła śliczny grymasik, a potem prosiła pieszczotliwie:

— O Julku, o Julku, będę cię bardzo kochała, jeśli mi pozwolisz tańczyć.

A na słowa te, powtarzane z powłóczystem spojrzeniem, jakie mają oczy zakochanych Neapolitanek, a jakim nic się nie odmawia — Julian milczał, a narzeczona szalała jak przedtem. W końcu i jego ogarnęła płomieniem ta hałaśliwa wesołość młodzieńcza.

Za każdym razem, gdy Eugenia przesuwiała się koło Ewy Muscettola, wołała:

— Ależ tańcz, tańcz Ewuniu, bierz przykład ze mnie!

Ewa, oparta na ramieniu Innica Althau, porucznika marynarki, a brata Chiariny, tańczyła dość dużo, ale wołała przekomarzać się z towarzyszem. Był to młodzieniec wysoki, szczupły, brunet; uniform nosił z wielką elegancją. Do naturalnej wesołości południowej przyłączyła się u niego pewna melancholia, właściwa wszystkim, którzy wiele podróżowali i muszą znów odjechać.

Od dwóch już miesięcy, powoli, słodka sympatia wzrastała pomiędzy młodymi, ujawniając się tonem słów raczej, niż samemi słowami.

On odczuwał gorącą duszę Ewy, kochającą pomimo nieporządku i opuszczenia domowego ogniska; odgadywał całą masę uczucia, które dziewczeczka przelewała na przyjaciółki, na dzieci, na ubogich. Ona podziwiała w głębi serca tego młodzieńca, który umiał się wyrwać z otoczenia zbytkownego, z to-

warzystwa wesołych przyjaciół i kolegów, aby od-  
dać się długiemu i trudnemu zawodowi zdala od uko-  
chanej.

— Jak piękne, ach, jak piękne są te pańskie  
okręty! — powiedziała spoglądając na Innica oczami  
zamglonemi od wzruszenia.

— Ale nie zawsze tak ukwiecone i ustrojone  
we flagi, nie zawsze tańczy się na nich polkę, jak  
dzisiaj.

— Wszystko jedno! Tak mi się podobają—sze-  
pnęła, pochylając głowę.

— Gdybyś je pani widziała podczas burzy, jak  
się opierają, jak wzlatują do góry...

— Niech mi pan nie mówi o burzy — odparła  
poruszona.

— Dlaczego?

— Nie mogę myśleć o tem... Nie będę mogła  
myśleć... Już nigdy podczas burzy nie usnę...

— Powinnoby się jechać razem z tymi, którym  
się sprzyja...

— Dlaczegożby nie?

— Ustawa nie pozwala.

— Ustawa?

— Tańcz, tańcz Ewo, tańcz, kiedy Innico jest  
tu—zawołała ze śmiechem Eugenia, potrząsając wiel-  
kimi koleczykami brylantowemi.

Był walc.

Wiele pań pomęczonych siadło na aksamitnych  
kanapach, ale panny nie zatrzymywały się ani na  
chwilę.

Elfryda Kapnist, ubrana wyzywająco w czerw-  
ną suknię i maleńki czerwony kapelusik, który to  
strój gorszył wiele osób — ze swoją miną cyganki,  
z oczyma dzikimi i słodkimi zarazem, szła, prowa-  
dzona pod rękę przez Willy Galeota, młodzieńca naj-  
bardziej modnego w towarzystwie neapolitańskim.

Od miesiąca już Willy nadskakiwał jej usilnie, jakby mężatce. Chodził za nią wszędzie, tańczył z nią całymi wieczorami, szeptał półgłosem, nie dopuszczając nikogo innego. Ona przyjmowała to spokojnie, z pogodą cudzoziemki bez przesądów.

I, jak zawsze, mówiono o niej najstraszniejsze i najpiękniejsze rzeczy: Willy jest jej kochankiem — Willy nie mógł dobić się od niej jednego czulszego słowa — Willy i ona jechali w nocy zamkniętą kareta — Willy nie mógł doprosić się pozwolenia złożenia jej wizyty w dwóch biednych izdebkach, które zamieszkiwała — Willy traktował ją jak baletnicę — Willy się z nią ożeni.

Ona zdawała się nie słyszeć, nie wiedzieć o tem wszystkim. Tańczyła walca z wdziękiem, spoglądając tancerzowi swemu wprost w oczy.

Przez jedną chwilę Julia Capece uzbroiła się przeciw Elfyrdzie: Willy Galeot był pierwszy na liście jej konkurentów. Ale gdy zobaczyła obok siebie księcia Sirmio, milionowego patrycyusza rzymskiego, magnata węgierskiego, Jerzego de'Neri, bogatego florentczyka, hrabiego Detmold, pierwszego sekretarza przy ambasadzie niemieckiej, i wiele mniejszych ryb, pocieszyła się prędko. Orszak jej był w komplecie; wszystkie jej zazdrościły. Tańczyła, śmiała się, rozmawiała, prześliczna w sukni od Wortha, z siedmiu sznurami pereł na szyi. Matka patrzyła na nią zdaleka oczyma pełnemi radości, że córka takie ma powodzenie.

Marya-Guli-Pausania, piękność klasyczna, o czystym profilu syrakuzkim, nie tańczyła wcale, wiedząc, że bale przystoją bardziej twarzom nieregularnym. Przesuwała się między parami, falując malowniczo szatą z czarnego jedwabiu. Skromna i wspaniała, podobna była do Minerwy, w kapelusiku czarnym słomkowym, ubranym żywemi różami.

Peppino Sannicandro prowadził ją pod rękę, a na jego bezmyślnej twarzy rozlewał się wyraz błogiej szczęśliwości. Wymyślił jakieś głupstwo i powtarzał wszystkim na lewo i prawo, otrzymując zachęcający uśmiech Maryi. Potem znów wpadło mu do głowy pytać przyjaciół, którzy szykowali się na wyścigi:

— Ile bydła puścisz w tym biegu, co?

Marya uśmiechała się spokojnie, łechcąc próżność tego głuptasa.

Rozmawiali z sobą mało. On nie odzywał się prawie wcale, ale promieniał z radości, że idzie obok jednej z najpiękniejszych panien Neapolu. Ona milczała, jak bogini dumna i poważna.

Naraz muzyka ucichła.

Pary rozpierzchły się po całym statku. Głosy niewieście leciały z pokładu aż pod same niebo.

W apartamentach admirała, wokoło bufetu, zebrał się tłum, trącano się kieliszkami, popychano wzajemnie. Dwie panny Gaston, różowe, rumiane, torowały drogę przyjaciółkom do bufetu. Potem usiadły obok dwóch Sannicandro, które zajadały z żarłocznością podlotków majonezy, kremy, galarety, jedno po drugim, bez wyboru. Razem z nimi Anna Doria oddawała się zapamiętałe jedzeniu, nie znalazłszy nikogo, ktoby ją zaprosił do tańca; w chwilę potem przyłączyła się Eugenia Aragońska, która, jak mówiła, umiera z głodu i zjadłaby cały półmisek.

Wszystkie kobiety, mężatki i panny, w tem eleganckiem i miękkim otoczeniu uczuwały wielką błogość i zazdrościły prawie towarzyszącym im oficerom tych pięknych podróży, dalekich krajów...

Oficerowie, opaleni, sympatyczni, śmieli się z tych marzeń i zachcianek morskich, ukrywając przed paniami trudy, wulgarność i długotrwałe przeciwności życia marynarskiego.

Chiarina Althau, która nie lubiła tańca, a miała

bystrość spostrzegawczą, usiadła na kanapie i przyglądała się z ciekawością nienasyconemu apetytowi sióstr Sannicadro, wściekłej żarłoczności Anny Doria, której matka kazała pościć trzy razy na tydzień, oraz chłopskiemu głodowi Eugenii, której Julian Vargas podsuwał potrawy ze śmiechem, niby dziecku.

Nieco później weszła Tekla Brancaccio, sama jedna, podobna ze stroju do młodego oficera.

Chiarina zapytała:

— Napijemy się czego, Teklo? Patrz, jak nasze przyjaciółki zajądają.

— Szukam Karola — odparła, zwracając na nią oczy o zimnem, metalicznym spojrzeniu.

— Niema go tu.

— Więc pójdę gdzieindziej.

— Nie, nie, moja droga, nie szukaj go.

— Jest z *nią*, prawda? Gdzie? Idę tam.

— O Teklo, daj spokój! Pocóż chodzić za człowiekiem, który nie ożeni się z tobą?

— Tak sobie — odparła, wzruszając ramionami. — Idę go poszukać, Chiarino.

— Więc idę z tobą.

Podniosła się, widząc, że nie przekona przyjaciółki.

Przeszły pod rękę wzdłuż całego statku, trzymając się brzegu, gdyż pośrodku tańczono dwa kadyły. Jakaś para miłosna, oparta o poręcz, spoglądała na morze i gwiazdy, rozmawiając półgłosem. Jakaś istota samotna patrzyła w dal. Szukając Karola i pani Maryi di Miradois, przyjaciółki nie zauważyły Olgi Bariatin, która, wychylona, patrzyła ku Castellamare. Już od dwóch godzin wyczekiwała Maksyma Dauna, narzeczonego swego, który przyrzekł przybyć niebawem, aby z nią tańczyć. Tymczasem pojechał z Ryszardem Muscattula, bratem Ewy i kilku jeszcze wesołymi młodzieńcami. A ona straciła

chęć do zabawy, była niespokojna i zdenerwowana i nie mogła się oderwać od poręczy, przeglądając wszystkie łódki, podpływające do „Romy”, nurtowana głuchem podejrzeniem zdrady, nie mogąc odgadnąć, co ta młodzież robi od dwóch godzin w oberży, wołoło zielonego stolika.

Tekla i Chiarina, nie znalazłszy nigdzie szukanych, skierowały się ku zacisznej stronie pokładu. Tu nie tańczono. Światło było przyćmione, lekki wietrzyk wieczorny poruszał zastonę.

Odwrócona od ludzi, Feliceta Filomarino i Giovannella Sersala spoglądały na iskrzące się morze. Z nerwowych ruchów ramion Giovannelli, ze stłumionych odgłosów widać było, że płacze. Felicetta siedziała nieruchomo, nie śmiejąc powierzyć swej tajemnicy nawet gwiazdom i falom.

Tekla i Chiarina zatrzymały się przy Angiolinie. Ta natężyła oczy, usiłując przebić ciemności, jakby pomiędzy tysiącem żagli szukała małego jachtu na morzach południowych, na którym *on* uciekał.. Pomimo białego ubrania, wydawała się szczuplejszą i przezroczytszą, niż zwykle.

— Nie tańczysz?—zapytała Chiarina.

— Nie; Mania tańczy—odparła, wyciągając długą i wąską rękę.

— Czy nie widziałaś Karola Mottola i donny Maryi di Miradois? — zapytała Tekla, dążąca do celu bez wahania i bez wstydu.

— Byli tu przed chwilą. Poszli w tamtą stronę.

— Do widzenia, Angiolo.

— Do widzenia, Teklo.

Szczupła istota zwróciła się znów do morza.

Chiarina i Tekla wróciły do towarzystwa. Zastaly ruch i ożywienie. Admirał pozwolił zwiedzić salę jadalną i kajuty oficerów.



Słychać było okrzyki podziwu i udanej lub prawdziwej bojaźni z ust pań.

Ewa ukazała się wsparta na ramieniu Innica, który jej pokazał swoją kabinę. Na oknie kwitła róża; teraz róża ta przypięta była do gorsu Ewy.

Eugenia Aragońska, owładnięta nagłym kaprysem, zaklinała Juliana, aby jej kupił statek. Nie chce, nie chce już mieszkać w domach kamiennych. Julian obiecywał spełnić jej żądanie po ślubie.

Nakoniec przyjaciółki znalazły Karola i donnę Maryę. Stali obok armaty. Admirał objaśniał kilku osobom mechanizm.

Kochankowie, donua Marya di Miradois, jasnowłosa Hiszpanka, namiętna i wysmukła, w białej sukni jedwabnej, pokrytej klejnotami, i Karol Mottole, brunet o pięknym typie włoskim, trzymali się za ręce, słuchając objaśnień.

Niezmieszana Tekla podeszła, uśmiechnęła się do Maryi, wyciągnęła rękę do Karola i rzekła.

— Och, szukałam pana. Mieliśmy przecież tańczyć walca.

— Możemy tańczyć kadryla.

— Skończymy wprawdzie słuchać objaśnień.

Wszyscy czworo stali, słuchając, bynajmniej niezakłopotani, przywykli uśmiechać się wobec dramatu.

Admirał podniósł tłok żelazny, zachęcając panie, aby spróbowały ciężaru. Żadna nie mogła poradzić. Donna Marya cofnęła się z zachwycającym strachem, Tekla zacisnęła zęby, naprężyła rękę i podniosła.

— Pani jest bardzo silna — szepnęła donna Marya.

— Bardzo silna—odparła spokojnie.

Był to jedyny objaw burzy, nurtującej te trzy dusze.

Gdy wyszli z pokoiku, oblało ich żywe światło

Wielka lampa elektryczna z brzegu wysyłała promienie na okręt, oświetlając to tę, to drugą stronę. Najpierw zjawiała się delikatna postać Angioliny, wyglądającej jak wizya w tej jasności. Potem światło oblało środek pokładu, gdzie tańczono kadryla. Ukazywały się lekkie figurki siostrzyczek Sannicandro, obydwie Gaston, których jasne loki błyszczały jak złoto, Marya Gulli-Pausania o czystym i mądrym profilu Minerwy, Julia Capece, którą promienie stroiły w aureole.

Naraz kierunek światła się zmienił i wydobył na jaw pochylone głowy Giovanneli i Felicetty, podobne do trupów.

Promienie przeskakiwały z miejsca na miejsce, wzbudzając okrzyki wesołe lub zmieszane osób, zaskoczonych znienacka, chowających się po kątach, albo też pozujących jak do fotografii.

W drzwiach bufetu Elfryda Kapnist trzymała duży kielich kryształowy, w który Willy Galeota wlewał z dwóch butelek jednocześnie szampana i bordeaux. Ona śmiała się, śmiała bez końca, a czarne loki spadały na twarz cygańską.

‡ Dalej Olga, oparta o poręcz, wciąż czekała na Maksyma. Nie miała już w obliczu niepokoju, lecz zmęczenie, rezygnację, cierpliwość bolesną. Przy niej namiętna twarz Elfrydy nabierała szatańskiego prawie uroku, podczas gdy słodkie rysy słowianki czyniły ją podobną do Ofelii, oczekującej przy księżycu, nad zamarzłym Bałtykiem, księcia Hamleta.

Światło znów przeszło na tańczących.

Tekla tańczyła z Karolem w milczeniu, ale miała postawę władczyni. Donna Marya di Miradois siedziała spokojnie, jakby wyczekując swojej kolei, i przypatrywała im się ze szczególnym uśmiechem na ustach. I Tekla uśmiechała się, ukazując drobne białe zęby, jak u dzikiej kózki.

Nareszcie promienie oświeciły Eugenję Aragońską, która objaśniała kilku muzykantom, jak mają grać tarantellę, prawdziwą tarantellę neapolitańską. Jej zapal udzielił się kilku parom. Taniec ludowy, to rozmarzony i miłosny, to szalony i namiętny, wrzał pomiędzy oklaskami widzów.

Eugenia tańczyła zapamiętałe i znakomicie. „Wspomnienia z domu”, jak mówiła Anna Doria, ze złościwością starej panny.

Ewa tańczyła teraz z Maryanem Capece, ale oczy jej szukały ciągle Innica. Ten, nie umiejąc tarantelli, rozmawiał poważnie z panią Natalią Muscettola, młodą matką Ewy.

I w tę noc cudną, w tem świetle, wśród gwarów morskich, w sercu Ewy zaczęła wzbierać wielka, nieznaną, bezgraniczną czułość.

---

### III.

Był to banalny salon pierwszej klasy, wyłożony brzydkiemi czerwonymi dywanami, oświetlony płomykami gazu, którymi poruszał wiatr jesienny, wpadający z korytarza, gdzie sprzedawano dzienniki. W tym to smutnym salonie stały się pierwsze Chiarina i Ewa z guwernantką, miss Anderly.

Dziewczęta nie rozstawały się prawie z sobą od czasu, gdy małżeństwo Innica z Ewą zostało postanowione. Bystry umysł Chiariny znajdował przyjemność w obcowaniu z wrażliwą duszą Ewy.

Zaczęły się przechadzać tam i napowrót, niby dwie cierpliwe podróżniczki.

— Jaka to głupota te podróże poślubne—rzekła Chiarina, spoglądając na jakiegoś pana, który posta-

wił walizkę na stole i wybiegł nerwowo, jak zwykle ci, którzy mają zaraz jechać.

— Och nie, moja droga, to poezya...

— Za dużo hotelów, służących, obcych twarzy, ciekawskich. To włóczęga nudna i niepotrzebna.

— Ty nie wyjeżdżasz w podróż poślubną?

— Nie.

— Ach, zapomniałam, że nie chcesz wyjść za mąż. Powiedz, dlaczego nie chcesz?

— Tak sobie.

— Ja cię wyswatam, moja najdroższa, zobaczysz.

— Kochasz bliźniego, jak siebie samego?

— Och — odparła, czerwieniąc się.

Poszły na spotkanie Anny Doria, która weszła sama, z policzkami ufarbowanemi różem własnego wyrobu, z obłokiem pudru na tem. Zachciało jej się dziś powiększyć sobie oczy i podkreśliła je korkiem palonym. Wyglądała tak dziwacznie, że nawet dobra Ewa nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Mama ma na obiedzie kilku księży — rzekła. — Zostawiłam ich w połowie jedzenia. Mama była wściekła. Oto jestem dla oddania ostatniej posługi...

— Jesteś dowcipniejsza, niż zwykle — szepnęła Chiarina ze śmiechem.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby Olga umarła, zamiast wyjść za tego zbója, Maksyma?

— Dziewczęta zawsze wolą wyjść za mąż, niż umrzeć. I ty także.

— Ja także, naturalnie, alem się jeszcze nie zakochała w wierszoklecie.

Chiarina nie przestawała się uśmiechać, ale nie odrzekła.

— Dlaczegoż go tak nie cierpisz? — zapytała Ewa.

— Bo to człowiek zepsuty do gruntu. Wyobraźcie sobie, że całą przeszłą noc spędził w szulerni i spóźnił się do ślubu. Olga płakała przez całe rano.

— Któż wie, że był w szulerni?

— Wiedzą! Był tam twój brat także.

— Nie wierzę!—odparła Ewa, blednąc.

— Jak to nie wierzysz? Przegrał siedem, czy osiem tysięcy liwrów.

— Przyrzekł już nie grać nigdy — szepnęła Ewa.

— Spytaj się Tekli. Zaraz tu przyjdzie, tylko się zatrzymała, ażeby kupić książkę.

Tekla weszła z powieścią Balzaca „Albert Savarus” w ręce.

— Tak, tak, grali całą noc. Karol przegrał dwadzieścia tysięcy—powiedziała z uśmiechem.

— A ty się cieszysz z tego?

— Ogromnie.

— Dlaczego?

— Kiedy Karol będzie miał pełno długów, będzie musiał się ze mną ożenić. Donna Marya nie może zapłacić za niego, ja mogę.

— I chciałabyś, żeby cię wziął z musu?

— Pokocha mnie później, musi pokochać — odparła Tekla z uporem osoby, owładniętej jedną myślą.

Sala napełniała się podróżnymi. Weszły pod rękę małe Sannicandro, różowe jak zwykle, w towarzystwie papy i Maryi Gulli-Pausania, przyszłej bratowej.

— Przyniosłyśmy róże dla Olgi... — rzekła pierwsza.

— Róże białe, jej ulubione—dodała druga.

I spojrzwały na siebie ogromnie zadowolone. Potem pierwsza zaczęła:

— Spotkałyśmy twoją mamę, Ewo.

— Jechała kareta z twoim bratem, Chiarino — skończyła druga.

Dwuznaczny uśmiech zarysował się na wargach Anny. Tekla i Chiarina spojrzwały na siebie pytająco, ale Ewa uśmiechnęła się, szczęśliwa, nie spuszczać oczu z drzwi, któremi miała wejść matka jej i narzeczony.

Marya Gulli - Pausania rozmawiała półgłosem z księciem Sannicandro, wysokim starcem o białych wąsach, który wyraźnie był oczarowany klasyczną twarzą i postawą przyszłej synowej i jej wielkopańskim sposobem mówienia o wspólnych przodkach. Julia Capece ukazała się w otoczeniu młodzieży, dyplomatów, baronów zagranicznych, dźwigających trudne brzemię pięknej i biednej dziewczyny, która szuka bogatego męża.

Eugenia Aragońska przyszła z przybraną matką, piękną jasnowłosą księżną i z Julianem Wargasem. Ślub ich miał być za rok.

Namiętna chłopka, uczyniona księżniczką, owładnięta była teraz szaloną miłością. Obnosili wszędzie swe uczucia, trzymając się za ręce, rozmawiając półgłosem, spoglądając sobie w oczy długo, bez końca. Nosili ubranie jednego koloru.

Ucałowawszy przyjaciółki jedną po drugiej z hałaśliwością, którą Marya Gulli - Pausania nazwała szwaczkowatą, Eugenia usiadła w kącie z narzeczonym, dźwigając olbrzymią więź hiacyntów różnokolorowych, rzadkość o tej porze.

Wszystkie osoby odprowadzające Olgę Bariatin skupiły się w dwóch, czy trzech grupach.

Półgłosem, tak, aby Julia Capece nie słyszała, Anna opowiadała, że *mademoiselle Charlotte* w Paryżu

zbankrutowała przez Julię. W przeciągu dwóch lat dostarczyła jej sukien za dwieście tysięcy liwrów i nie odebrała ani grosza. Liczyła wciąż na bogate zamążpójście klientki, ale mąż się nie trafił i *Charlotte* biedna musiała zawiesić wyplaty.

— Ależ Rocco Caracciolo miał się z nią ożenić?

— Nie. Caracciolo jest związany gdzieindziej.

— Gdzieindziej? Jak to gdzieindziej?—zapytało parę zaciekawionych głosów.

— Baletnica, Fiamante. Nie może zerwać, to związek poważny.

Dziewczęta spuściły oczy, czerwieniąc się lekko, ogarnięte ciekawością tego *innego* świata, którego nie znały, którego nie powinny znać, ale którego echa zabiegały do nich w rozmowach braci i ojców.

— Ale co mówił! — wtrąciła się Elfryda Kapnist. — Caracciolo uwolnił się od Fiamante, zapłacił jej trzydzieści tysięcy, dla niej i dla dziecka...

— Dla jakiego dziecka?—zapytała naiwnie Ewa.

Zapanowało milczenie. Wszystkie opuściły wzrok, niby roztargnione.

Stanowczo ta Elfryda była za swobodna, była niemożliwa. Złe wrażenie się potęgowało. Nosila marną sukienczynę w czarne i białe kratki, a w uszach miała dwa wspaniałe brylanty wartości trzech tysięcy franków.

— Co porabia Willy Galeota? — miała odwagę zapytać Anna Doria.

— Uwielbia mnie, jak zawsze—odparła szybko.

— I kiedyż wasz ślub?

— Niezadługo, niezadługo, niezadługo.

Elfryda odwróciła się i doszła do Julii.

Ewa spoglądała ciągle na drzwi z niecierpliwością, ale matka i narzeczony nie zjawiali się. Przybyła natomiast Giovannella Sersala w towarzystwie siostry i szwagra.

Twarz Giovannelli nabrała życia, jakby nurtowana jakimś snem, jakby myślą ukrytą. Nie szukała już przyjaźni Feliciety, smutnej dziewczyny, strzegącej zazdrośnie swego sekretu. Przebywała z siostrą i ze szwagrem, z tą siostrą, która jej ukradła narzeczonego, męża. Tajemniczy uśmiech kwitł na jej wargach.

Weszła Angiolina Cantelmo z ojcem i siostrą. Nie była to już kobieta, ale cień nikły, przezroczysty. Oczy jej błyszczały, strój był staranny: znać było, że chce się podobać, chce wyglądać młodo i pięknie.

Ojciec jej, widząc, że córka schnie w oczach, poszedł do księcia Seracapriola, ojca, błagając, aby to małżeństwo przyszło do skutku. Książę przyzwolił w imieniu nieobecnego syna, pod warunkiem, aby posag powiększono o dwieście tysięcy. Syn mógł się spodziewać o wiele większego majątku, ale poprzestaną na pół miliona, ponieważ Cantelmo jest krewnym i przyjacielem, i ponieważ dziewczeczka umiera z miłości.

Powrócił piękny podróżnik, zimny i sceptyczny i zaczął nadskakiwać narzeczonej. Ona rozkwitała, jak biała róża w dzień zimowy. Wszedłszy, zobaczyła go pomiędzy dworem Julii Capece. Uśmiech, który mu posłała, był słowem, światłem, uczuciem, całą duszą ludzką, wrywającą się do ukochanego.

Przyjaciółki otoczyły ją z czułością, nie śmiać pytać o zdrowie, pociągając w głąb salonu, aby się nie przeziębiła.

Ukazała się grupa młodzieży: Willy Galeota, Peppino Sannicandro, Carlo Mottola, Maryan Capece. Rozmowa stała się ogólną. Wszyscy się dziwili, że Olgi i Maksyma jeszcze niema: brakowało już dwudziestu minut do odejścia pociągu.

Eugenia kazała przysięgnąć Julianowi, że nigdy



nie wyjadą z Neapolu. Po ślubie mogą się zamknąć w prześlicznej, kwiecistej willi Aragońskiej; nie trzeba opuszczać Neapolu, ona uwielbia Neapol i nienawidzi wszystkich innych krajów na świecie!

Zrobiło się wielkie poruszenie: Maksym i Olga weszli pod rękę. Ona była blada, lecz milusia i urocza jak zawsze; on miał zwykłą minę człowieka oschłego.

Gdy zobaczyła wszystkie przyjaciółki, cisnące się do niej z kwiatami, drżenie nerwowe ją przebiegło. Nie mogła płakać, ale dusiły ją łkania. Maksym rozmawiał z roztargnieniem z przyjaciółmi. Trzymał ręce w kieszeniach i miał wygląd człowieka doskonale znudzonego.

— Przyniosłyśmy ci róże, Olgo — rzekła pierwsza Sannicandro z oczyma łez pełnemi.

— To będzie pamiątka z Neapolu — dodała druga.

Ona pochyliła się nad kwiatami, powąchała je i ucałowała. Potem ucałowała długo obie dziewczynki, które spojrzały na siebie, jak zwykle, i rozplakały się głośno.

— Nie płaczcie, drogie — szepnęła i zbliżyła się do Maryi Gulli Pausania.

Ta złożyła zimny pocałunek na czole Olgi i rzekła spokojnie:

— Zobaczmy się za pół roku w Paryżu, pojedziemy z Peppinem. Wy tam będziecie?

— Nie wiem, nie wiem... — szepnęła zmieszana Olga, patrząc ukradkiem na męża.

— Oto hiacynty — powiedziała Eugenia. — Wracaj, moja droga.

— Wróć, jedyna.

— Wracaj prędko. Tam u was zimno, tu tak ciepło.

I oparła się na ramieniu Juliana, ufna, kochająca.

— Pamiętasz nasze rozmowy wieczorne? — rzekła półgłosem Tekla. — To, czego pragnęłaś, spełniło się. Bądź szczęśliwą, droga moja.

— Oby i twoje życzenia się spełniły!

— Muszą się spełnić, albo umrę!

— Przyjmiesz sprawunek do Petersburga? — zapytała Julia. — Chciałabym mieć futro z wilków ruskich, ogromnie chciałabym!

— Nie zapomnę.

— Olgo moja, życia wesołego, jasnego, miłości niewyczerpanej — rzekła cicho Chiarina.

— Czy to możliwe, Klaro? — szepnęła boleśnie młoda małżonka.

— Bądź spokojna i nie myśl o tem.

Ale Maksym, stojąc we drzwiach, niecierpliwiał się. Urzędnik oznajmił podniesionym głosem, że pociąg do Rzymu odchodzi. Olga pośpieszyła, otoczona orszakiem przyjaciółek.

Szalony wichur wył na dworze. Maksym, już w wagonie, ciskał szale i kwiaty na kanapę. Uczucie żalu przejęło wszystkich na widok tej ozdobnej blondynki, drobnej i uległej, rzuconej na morze życia bez opieki. Nawet Annę Doria ogarnęła litość.

— Pisz, Olgo, nie zapomnij.

— Dobrze, dobrze, napiszę... — odparła, jakby we śnie, drżącymi ustami.

— Odwagi, moja jedyna, odwagi i energii — rzekła jej do ucha Elfryda. — Wtedy nic ci się nie stanie.

— Powodzenia i szczęścia — mówiła słabo Olga, opierając się o ścianę, bliska zemdlenia.

Zbliżyła się Angiolina Cantelmo i spojrzały sobie w oczy długo i przejmująco. Angiolina ścisnęła rękę nowozaślubionej. Słów jej brakło.

— Najświętsza Panno... — bełkotała niedosty-  
szalnie.

— Och, Angiolino...

Łzy trysnęły nareszcie z jej oczu. Płakała w mil-  
czeniu. Ewa ścisnęła Olgę, szepejąc:

— Pamiętaj, że ci dobrze życzymy zawsze. Tak  
cię kocham, najdroższa.

Rozległ się dzwonek.

— Olgo, Olgo — zabrzmiał suchy, świszczący  
głos Maksyma.

— Jestem — odparła posłusznie.

Wszyscy wracali pomału do pojazdów. Ewa  
powróciła do swojej myśli. Napróżno Chiarina mówiła  
jej o rzeczach wesołych.

— Gdzie może być Innico?

— Ależ... nie wiem.

— Och, Chiarino, powiedz, czy on mnie kocha?  
Co zrobię, jeśli mnie nie kocha?

Oparta na ramieniu przyjaciółki, łkała w kare-  
cie, unoszącej je do domu. Chiarina pocieszała ją  
i pieściła, jak chore dziecko. Ale w duszy sama była  
smutna i zamyślona.

---

#### IV.

Karety zajeżdżały przed obszerny klasztor Św.  
Klary, pełen słońca zimowego. Zaproszeni wchodzili  
do środka i czekali przed drugą bramą, zamkniętą.  
Tłum uliczny tłoczył się, usiłując coś zobaczyć, ale  
puszczano tylko za biletami.

Co chwila jakiś szczęśliwiec, obdarzony kartą

wstępu, ubrany czarno, w białym krawacie i rękawiczkach, jak na ślub, wchodził do klasztoru i nikł w czarnem wnętrzu kościoła, oświetlonem w głębi aureolą gromnic.

Panie przybywały w czarnych sukniach, błyszczące klejnotami, z książkami do nabożeństwa w rękach.

Ciekawi sądzili, że ma się odbyć jakiś wielki ślub i czekali cierpliwie na pojawienie się państwa młodych.

Przy wejściu do kościoła stało sztywnie i nieruchomo dziesięciu służących domu Muscettola. Honory czynili: księżę Mileto, brat księcia Muscettola i księżę di Montescaglioso, brat księżnej Muscettola, Przed głównym ołtarzem, na poduszce z czerwonego aksamitu klęczała księżna, ubrana czarno i, z twarzą ukrytą w rękach, modliła się, czy płakała. A dalej, na prawo i lewo tłoczyła się cała arystokracja neapolitańska, czarna i biała, hiszpańska i sycylijska, żyjąca między Neapolem, Sorrento i Castellamare, i ta, która żyje między Szkocją, Anglią i Paryżem.

O, nie łatwo arystokracja neapolitańska gromadzi się z taką uroczystością w kościele, w sali balowej, na zabawie publicznej! Wiele pań i panów tu obecnych nie poszło pół roku temu na ślub Elfrydy Kapnist z Willym Galeota — ślub, który rozżłościł wszystkie stare panny, zgorszył mężateczki i zdziwił wogóle towarzystwo. Uważano przeważnie Elfrydę za awanturnicę.

Nie wszyscy poszli na pogrzeb Angieliny Cantelmo, która zgasła pewnego wieczoru majowego, wyciągając rączkę do siostry i uśmiechając się do narzeczonego. Pogrzeb odbył się w ścisłym gronie krewnych i domowników. Jerzy odjechał znów na swoim jachcie do Japonii.

I nie wszyscy również byli na pogrzebie Ry-

szarda Muscettole, brata Ewy, który strzelił sobie w głowę jednej nocy, wyszedłszy z szulerni.

Na ślubie Maryi Gulli-Pausania zgromadziła się tylko arystokracja sycylijska. Ceremonia odbyła się w Palermo, z nadzwyczajnym przepychem. Podobny przepych powtórzył się w miesiąc później na pogrzebie Eugenii Vargas Aragońskiej.

Żywa, szczebiotliwa, sympatyczna istota umarła, zostawiwszy dziedzica Vargasone i Aragone. Nic nie mogło jej ocalić. Umierała, błagając, by ją ratowano; rzucała się na szyję męża z jękiem; skoła zrozpaczona.

Obecnie towarzystwo, liczniejsze jeszcze z powodu niezwykłości obrzędu, zgromadziło się w klasztorze Świętej Klary.

Punkt o jedenastej nowicyuszka weszła do kościoła i przebyła całą jego długość, do głównego ołtarza.

Ubrana była biało; na ciemnych włosach leżała biała zasłona. W ręce trzymała wiązankę kwiatów pomarańczowych i książkę do nabożeństwa, w biały aksamit oprawną.

Oczy jej były spuszczone ku ziemi, twarz spokojna najwyższym spokojem, ale nie pogodą. Nie uśmiechała się i przez to nie była pogodna. Zdawało się, że z ust tych na zawsze znikł uśmiech. I to ją postarzało, zmieniało nie do poznania. Była to inna osoba.

Za nią pobiegły ciche, bolesne szepty kilku głosów kobiecych:

— Ewo, Ewo, Ewo...

Ona nie odwróciła głowy, szła dalej, jakby nie już zająć jej nie mogło.

Za nią postępowały dwie matki chrzestne: księżna di Tricarico, wielka pani pobożna i mistyczna, i księżna Merude, Hiszpanka wysoka i chuda.

Przed głównym ołtarzem Ewa uklękała, przeżegnała się i pochyliła do matki, ale jej nie uściskała. Przyłożyła usta do jej ręki, a księżna cofnęła się, jakby dotknięta.

Nowicyuszka uklękała pomiędzy matkami chrzestnemi; kardynał Riario Sforza rozpoczął mszę.

Mężczyźni, wyprostowani, mieli niepewne miny ludzi, wzruszonych uroczystością, a nie śmiejących tego okazać. Tylko kilku starych, ksiązę Aragoński, ksiązę Cantelmo, dotknięci nieszczęściem, schylali głowy, bo wraz z ciosem wiara wstąpiła w ich serca.

Panie natomiast modliły się żarliwie, zstępując w tę chwilę mistyczną w najtajniejsze zakątki swych uczuć.

Tekla Brancanio, o silnej nieugiętej woli, spoglądała na Ewę i modliła się za nią. Ona zwyciężyła: donna Marya di Miradois odjechała do Barcelony; Karol zdecydował się na małżeństwo, choć niechętnie, płonąc jeszcze dawną namiętnością. Ona zwyciężyła, ciężko, boleśnie, ale Ewa przed głównym ołtarzem, ubrana jak do ślubu, przegrała, została zwyciężona...

I Tekla, choć nie znała jej tajemnicy, modliła się, wzruszona do głębi duszy zarówno za zwycięzców, jak zwyciężonych, za donnę Maryę, za siebie, za Ewę, za tych, co ją dotknęli tak strasznie...

Anna Doria, oparta łokciami na ławce, modliła się, przyciskając różaniec do ust. To wyrzeczenie się Ewy, ta śmierć dobrowolna duszy, porzucającej świat, jego uczucia i oddającej się niepodzielnie Bogu, przedstawiało się starej pannie jako jej przyszłość nieunikniona. Cóż innego mogło ją czekać w trzydziestym piątym roku życia, biedną, brzydką?...

Z opuszczoną głową i ściśniętym sercem Giovanella Scozale nie miała odwagi się modlić. Pogrążona była w grzechu i kochała bardzo ten grzech.

Oh, Ewa, umiała się wyrwać pokusom i burzom świata, była na drodze do zbawienia i spokoju, ale dla niej niema zbawienia, musi umrzeć w grzechu!

Obok Maryi Gulli-Sannicandro, modlącej się ze zwykłą pompą, klęczała Julia Capece, dziękując Bogu, że się nad nią zmiłował. Za dwa miesiące miała wyjechać do Anglii; wychodziła za starego księcia. Neapol był teraz za ponury; panny umierają, albo wstępują do klasztoru, mężatki umierają, albo uciekają, jak Marya di Miradois, awanturnice zaślubiają ksiąząt.

Julia modliła się spokojnie, bez wzruszenia, zażywając tylko urody Ewy, która zmarnieje w klasztorze.

Małe Sannicandro klęczały przy sobie i odmawiały wspólnie różaniec. W duszy ich powstawała żarliwa chęć wstąpienia do klasztoru; byłyby świętymi, świętymi domu Sannicandro.

Felicetta Talomarino, dziewczyna bez nadziei i bez przyszłości, szukała w sobie powołania do pójścia w ślady Ewy.

Modliła się nawet Elfrida Galerta, cyganka, która została hrabiną. Modliła się, przypominając sobie nabożność lat dziecinnych, którą zatarło życie awanturnicze, i modliła się z sercem zmiękłym w poczuciu swego szczęścia, za tę, która zawsze była dobra dla niej, a teraz usuwała się ze świata...

Ale najbardziej pogrążyła się w modlitwie Chia-  
rina Althan. Ona jedna wiedziała straszną tajemnicę, która zdruzgotała życie Ewy, ona jedna знаła całą bezdeń tego poświęcenia. Oplakiwała przyjaciółkę, ale modliła się za tych, którzy ją zabili i nigdy już teraz nie zaznają spokoju.

Msza się skończyła. Kardynał pobłogosławił habit franciszkański, który Ewa miała przywdziać. Skłoniwszy się głęboko przed ołtarzem, Ewa, w towarzystwie matek chrzestnych, przeszła z powrotem przez

kościół, kierując się ku klasztorowi, gdzie czekały na nią zakonnice.

Znów ręce przyjacielskie wyciągały się, kilka głosów ją przyzwało, ale ona nic nie słyszała.

Matka została przed głównym ołtarzem. Wszyscy patrzyli, czy płacze. Stracić dwoje dzieci w tak krótkim czasie, toż to cios okropny dla serca macierzyńskiego!

Ale księżna nie podnosiła głowy.

Była sama. Książę podróżował za granicą. Nie mógł być obecny obłóczynom córki. Rodzina się rozprzegła, Muscettela ginęli. Majątek przechodził na linię Mileto. Ewa cały posąg zapisała na przytułek dla dzieci opuszczonych.

Zapanowała cisza.

Słońce sięgało już do małego portyku i ślizgało się po białym marmurze i złoceniach pięknego kościoła.

Naraz otworzyły się drzwi klasztorne i stanęła w nich Ewa.

Nie miała już na sobie białej sukni, welonu, kwiatów, klejnotów i całego przepychu świeckiego. Bronzowy habit zakonny spadał jej do nóg. owinięty białym sznurem. Piękne włosy złocisto-brązowe rozsypane były na plecach.

Na widok ten Julia Capece uczuła ścisnięcie gardła i zaczęła płakać cicho.

Kardynał, który wszedł do klasztoru za Ewą, pobłogosławił biały szkaplerz, a ona wdziała go na szyję machinalnie, nie patrząc na nikogo. Miała wciąż ten sam spokojny wyraz twarzy, nieruchomość, która boleśniej działała na otaczających, niż obraz jakiejś walki, czy cierpienia.

Mniszka jedna zebrała jej włosy w węzeł. Przełożona, staruszka przygarbiona, z wielkim krzyżem na piersiach, przybliżyła się zwolna.



Ze wszystkich stron kościoła wychylały się twarze. Stawano na palcach, aby zobaczyć, co będzie.

Nowicyuszka klęczała, modląc się, jak widać było po ruchu ust. Przełożona, uzbrojona w wielkie nożyce, przyłożyła rękę do włosów. Pod chłodem stali na szyi nowicyuszka wstrząsnęła się długim dreszczem. Panie obecne patrzyły, nie modląc się już, wstrząsane tym samym dreszczem grozy.

Nożyczki w niepewnych, drżących rękach starszuszki przesuwają się i nie tnąc, wymykały z pod włosów. Ceremonia zdawała się wlec w nieskończoność.

Wreszcie pęk obciętych włosów spadł na ręce zakonnicy, niby rzecz martwa. Twarze kobiece błądły. Elfryda Kapnist, hrabina Galeota, opuściły głowę, zasłoniętą przekornymi kędziorami włosów i płakały nad obciętymi warkoczami Ewy.

Na głowę nowicyuszki, zmalął naraz, zarzucono czarny welon.

Ceremonia się jeszcze nie skończyła. Ewa uzyskała, że pozwolono jej uniknąć roku nowicyatu i odrazu wstąpić do klasztoru. Powołanie jej było tak głębokie i nieprzełamane, że napróżno spowiednik radził, aby poczekała trochę, rozejrzała się w sobie. Musiano udać się do Rzymu po pozwolenie i Rzym go udzielił. W tych czasach panny nie wstępują do klasztorów. Tak gorliwe powołanie posłuży za przykład.

Ewa tedy podniosła się z klęczek. Zakonnice okrążyły ją z zapalonymi świecami.

Podano jej długi zwój pergaminu, zapisany po łacinie. Czytała powoli, bez wzruszenia, bez drżenia, głosem, który już miał monotonię mniszek. Była to długa reguła klasztorna, którą miała zaprzysiędz. Słowa łacińskie przygniatały dusze kobiet. Mężczyźni nawet nie mogli obronić się wzruszeniu. W koń-

cu Ewa zaprzysięgła po włosku: *czystość, ubóstwo, posłuszeństwo i wieczystą klauzurę*. Spokojną ręką ujęła pióro i podpisała. Po niej podpisy swe położyli: przełożona i kardynał.

Anna Doria łkała półgłosem.

Ceremonia stała się jeszcze bardziej ponura. Zakonnice ułożyły Ewę na całunie, jak umarłą, skrzyżowały jej ręce na piersi i pokryły czarną aksamitną zasłoną, na której była czaszka i kości, symbole śmierci. W czterech rogach postawiono zapalone gro-mnice, jak przy trupie. Dzwony zaczęły dzwięczeć, zakonnice odmawiały *De profundis*.

Małe Sannicandro, przerażone, płakały, myśląc, że Ewa naprawdę umarła. Marya Gulli-Sannicandro uczuła łzy w oczach.

Zakonnice chodziły procesją wokoło Ewy, leżącej nieruchomo. Pokropiono ją wodą święconą. Modlitwy za umarłych dzwięczały ciągle, przygniatające i straszne, dzwony biły ponuro, a ciekawi, tłoczący się na ulicy, dopytywali się, czy to ślub, czy pogrzeb.

Kardynał zbliżył się do Ewy i przemówił:

— *Surge, quae dormis, et exurge a mortuis, et illuminabit te Christus!*

Trzy razy powtórzył wezwanie: mniszki zdjęły całun żałobny, Ewa podniosła się; kardynał pobłogosławił ją i odszedł.

Drzwi od klasztoru zamknęły się. Nowa zakonnica śpiewała wraz z innymi.

— *Ego sum resurrectio et vita...*

Wszystkie kobiety, pochyliwszy głowy, płakały nad tą zakonnica...

WŚRÓD LAWY.



I.

Oddalony, szorstki głos marynarza, usiłującego przekrzyczeć szum fal morskich, zawołał:

— Wzywać!

Natychmiast młody i tłusty blondynek, lśniący potem, ubrany pretensjonalnie, przestał kołysać się na fotelu i od kabin damskich przeszedł do salonu, wygłaszając donośnie:

— Trzydzieści siedem!

W salonie, napelnionym gośćmi, uczynił się ruch.

Eugenia Malaquida i jej matka, eskortowane przez służącą, przeciskały się przez tłum, gdyż one właśnie posiadały ten numer. Były tłuste, małe, miały śmieszny i chwiejny chód tuczonych gęsi. Matka, już bez pretensyi, ubrana była przyzwoicie, ale Eugenia, ściśnięta w jasnym, jedwabnym staniku i za małych bucikach, ledwie się ruszała i mogła oddychać. Służąca obładowana była woreczkami, parasolkami, wachlarzami; pod pachą miała butelkę wina, którem panie wzmacniały swe siły po kąpieli.

Po ich przejściu wzmoął się ruch wachlarzy, rozmowy kobiece zagłuszyły szum morza. Wietrzyk wydymał błękitne rolety u okien. Pán Canavacciolo,

właściciel zakładu, ów właśnie blondynek, wywołujący numerą, ocierał sobie czoło chustką jedwabną.

Elwira Brown, piękna Neapolitanka, zaślubiona staremu Anglikowi, rozmawiała półgłosem z Małgorzatą Falco, narzeczoną swego brata. Mają numer 62; teraz dziesiąta — przed pierwszą nie będą mogły wyjść. Elwira trapiła się, że podejrzliwy, stary mąż wyprawi jej znów scenę zazdrości po powrocie.

Małgorzata, słodka i urocza istota, usiłowała ją pocieszać, że może tak źle nie będzie.

— Ty nie wiesz, ty nie wiesz — szeptała Elwira, pochylając piękną główkę, obciążoną brylantami.

Istotnie, Małgorzata nie mogła mieć pojęcia o dzikiej zazdrości tego wyschłego starca, który pojął młodą i piękną żonę, obsypywał ją klejnotami i zbytkiem i zamęczał kapryсами.

Elwira wiedziała dobrze, co ją czeka i smutnie patrzyła na kartę z numerem. Tymczasem signor Canavaccinolo, usłyszawszy: „wzywać!” wygłosił:

— Trzydzieści osiem!

Hanusia Manetta natomiast była zupełnie spokojna, a nawet szczęśliwa, że mają numer 64. Jej ukochany, Wincenty Spano, jeszcze nie przyszedł. Matka, przeciwna tej miłości, oburzała się i gderła. Dwa razy już posyłała Adelkę, młodszą córkę, aby jej zmieniono numer na niższy, bo się śpieszy.

Adelka, łobuz-podłotek, przeszła się po salonach, wypita limoniadę i wróciła z niczem. Była potajemną współpracowniczką siostry, a ta chciała czekać.

Było wpół do jedenastej. Weszły z matką siostry De Pasquale, upudrowane blondynki, zbierające wawrzyny w teatrach amatorskich. Czarowały publiczność w „Jerzym Dandin,” w „Naszych pocziwych wieśniakach” — zużywały czas, zdrowie i pieniądze, były zawsze okrażone wielbicielami i nie mogły znaleźć męża. Ze sceny wyniosły puder na włosach i twa-

rzy, róż na ustach i ukośne spojrzenie pierwszych naiwnych.

Trzy siostry Galanti, sympatyczne brunetki o czar-nych oczach, nieco za wysokie i za tęgie, miały lek-kie wąsiki, jak matka, olbrzymia baba, wyglądająca raczej na generała, niż na wdowę po nim. Otoczone były oficerami i elegancką młodzieżą i śmiały się, po-kazując białe, zdrowe zęby.

Miały posag, były wychowane w najlepszym za-kładzie naukowym i z pewną pogardą spoglądały na szczupłe De Pasquale, które deklamują o miłości dla sztuki, a nie mogą złowić kawałka konkurenta od pię-ciu lat, jak przeszły dwudziestkę.

Obie grupy udawały, że się nie widzą, ale pan-ny Galanti drażniło to, że elegancki margrabia Gera-ca chodzi wszędzie z Heleną De Pasquale. Te znów zawistnem okiem mierzyły kolczyki Ryszardy i bran-zoletkę Emilii Galanti.

— Wzywać, wzywać! — zaryczał z wewnątrz ma-rynarz.

— Trzydzieści dziewięć, czterdzieści! — wy-krzyknął signor Canavaccinolo, chłodząc się wachla-rzem.

Słońce sierpniowe rozpałało drewniany dach po-czekalni. Była to właściwie wielka kabina, wzniesio-na nad falami, z której rozlegał się widok na morze błękitne, srebrne i błyszczące. Gdy zwiewały się mgły lekkie, widniał w oddali na lewo Wezuwiusz, uwieńczony śniegiem.

Henryka Caputo weszła z matką. Ubrana była po marynarzku, bluzka odstaniała głęboko białą szyję. Piękne jej oczy szukały, przyzywały kogokolwiek. Matka szła za nią, z postawy i ubrania podobna do służącej.

Henryka zatrzymała się na progu w niepewno-

ści. Dobrze Galanti przywołały ją. Podeszła śpiesznie.

— Szukam Eugenii Malagrida—szepnęła.

— Weszła już.

— A powiedziała, że zaczeka na mnie...

Porozumiała się spojrzeniem z matką. Ubogie kobiety, wdowa i sierota po kapitanie, żyjące ze szczupłej emerytury, instynktownie przyczepiały się do bogatych koleżanek Henryki.

Henryka połowę życia przepędzała u Eugenii, nadskakując jej, pieszcząc, ubierając, aby ją czasem zabrała z sobą do teatru, zaprosiła na obiad, przewiozła powozem.

Ubóstwo i chęć błyszczenia w celu pozyskania męża stwarzały biednej dziewczynie egzystencję, nad którą nieraz płakała w samotności. Nie mogąc brać kąpeli morskich z powodu ich ceny, czepiała się rozpaczliwie Eugenii, aby ją wzięła z sobą. Ale musiała przychodzić ze starego Neapolu, na taki upał i nieraz się opóźniła. Eugenia wchodziła, nie troszcząc się, czy uboga przyjaciółka będzie mogła wziąć kąpiel bez jej pomocy. Tak było i dziś.

Matka i córka spoglądały pełne uśmiechów na panią Brown i Małgorzatę, rachując na nie. Były to osoby tak grzeczne! Ale w tej chwili Elwirze, ciągle obawiającej się opóźnić do domu, udało się wymienić bilet z młodym człowiekiem, który czekał na kogoś.

Henryka spojrzała z rozpaczą na matkę. Straciła nadzieję. Rozmawiała z pannami Galanti, przymuszając się do uśmiechu i niby zapomniawszy iść po bilet. Wreszcie Ryszarda zrozumiała i w dobroci swej rzekła:

— Możebyś poszła do naszej kabiny?

— Będzie nas za wiele, będę wam przeskaka-



działa — odparła Henryka, gryząc wargi, aby się nie rozplakać.

— Ale cóż znowu! Mamy podwójną kabinę, będzie nam dobrze. Chodź, proszę cię.

Miła twarz Henryki rozjaśniła się; wypogodziło się również oblicze jej matki.

Było w pół do dwunastej. Ani jedno wolne miejsce nie zostało w salonie. Panowie stali, rozmawiając z sobą, lub otaczając panny. Upał był niemożliwy. Krople potu błyszczały na czołach. Mamy wachlowały się z hałasem.

Katarzyna Borelli, o dwóch grubych warkoczach, spuszczonech na plecach, w binoklach sterczących na nosie, przeglądała z uśmiechem ironicznym gazetę, rozmawiając z przyjaciółką, Anusią Casale.

Obie były wychowanicami szkoły Normalnej, zdały dobrze egzaminy i używały wakacyi. Pół dnia przepędzały w kąpieli, wracały z wilczym apetytem i spały po obiedzie, jak zresztą wszystkie dziewczęta z mieszczaństwa neapolitańskiego w lecie.

Katarzyna miała zwykle parę groszy w kieszeni i kupowała łakocie, które chrupały przed, podczas i po kąpieli.

Signor Canavaccinolo mówił:

— Santa Lucia czuwa nad wami, moje panie, bo macie dobry apetyt.

Naraz jakiś szczupły młodzieniec zasiadł do fortepianu i zagrał polkę. Grał nędznie, fortepian był rozstrojony, ale dziewczęta ogarnął dreszcz balowy. Henryka wybijała takt, zapomniawszy o swem ubóstwie; Ryszarda nuciła półgłosem, obie De Pasquale upadły na krzesła, porwane zachwytem. Binokle zaczęły tańczyć na nosie Katarzyny.

Nawet Marya Jovine, brzydka i kulawa, strojna w koronki i aksamity, uderzała w takt wachlarzem, choć z powodu kalectwa nie mogła nigdy tańczyć.

Miała 100,000 lirów posagu, a nikt nie chciał się z nią ożenić. Obok niej siedziała matka, piękna jeszcze i młoda dama.

Muzyka ucichła. Grajek, zapłacony przez właściciela, aby rozweselał towarzystwo, odszedł zwolna, prezentując ubogie odzienie. Ale nikt już nie zważał na niego. Szeptano dokoła:

— Panny Altifreda! Panny Altifreda!

Wszyscy obracali się i patrzyli. Panny Altifreda były to dwie piękne i dumne osoby, przyjeżdżające własnym powozem z panną służącą, nauczycielką pływania i lokajem. Ubrane wytwornie, zjawiały się zawsze w południe, przechodziły przez salon, nie zatrzymując się, nie patrząc, rozmawiając z sobą tylko, jakby reszta świata nie istniała.

Nosiły w morzu eleganckie kostiumy i odpływały razem z nauczycielką, wracając po godzinie ćwiczeń różowe i świeże.

Inne dziewczęta zazdrościły i nienawidziły tych pysznych Altifreda, takich pięknych, bogatych, wykwintnych. Mówiono o nich rozmaite rzeczy. Henryka utrzymywała, że nie znajdzie się głupiec dość głupi, żeby je poślubił. Eh, nie mają wcale posagu, dodawała Ryszarda, ojciec wszystko wydaje na nie. Malują się, zapewniała De Pasquale. Katarzyna Borelli, usiłująca czynić głębokie spostrzeżenia, rzekła do przyjaciółki, że po ślubie staną się z nich dumne kury. Jedynie Hanusia Manetta pogrążona była po uszy w swojej miłości. Jej luby przyszedł, siedział naprzeciwko niej, spoglądali na siebie pomimo bazylijskiego wzroku matki.

Altifreda przeszły śród wielkiej ciszy. Signor Canavaccinolo, który nigdy nie wstawał, podniósł się na ich widok.

Panny Galanti z Henryką otrzymały kabinę. Grajek znów się pojawił i zasiadł przy fortepianie. Przy

nim stanęła stara kobieta, prawdopodobnie matka, sucha, brzydka, pomarszczona, o żółtych zębach i rzadkich, malowanych na ciemno włosach. Przybrała pozę romantyczną i z odrzuconą głową, z uśmiechem zachwyty na ustach, zaczęła śpiewać słabym i fałszywym głosem stary romans Tostiego:

Penso alla prima volta.

. . . . .

Katarzyna Borelli, nie znająca się na muzyce, zaczęła się śmiać. Ale jej przyjaciółka zamysliła się melancholijnie, usłyszawszy czułą zwrotkę:

Ma tu, tu l'hai scordato,  
Dicci che un sogno fu!...

(Ale ty, tyś zapomniał, mówiąc, że to sen...)

Śpiewaczka przymykała oczy, podobna do starego kanarka. Ale pomimo jej śmieszności, melodia żalostnej pieśni przeniknęła do dusz dziewczęcych. Anusia Casale myślała o swoim studencie prawa, który przez czterdzieści dni napisał sto dwadzieścia listów miłosnych do niej, poświęcił jej niezliczoną ilość sonetów i piosnek, i ożenił się z córką garbarza. Katarzyna Borelli, pozująca na niewiastę męznego ducha, uczuła się ogarnięta melancholią, choć nikt jej nie zdradził, ani ona nie zdradziła nikogo.

Hanusia Manetta, męczennica miłości, znosząca codziennie dokuczania matki z powodu Wincentego, patrzyła na niego przez łzy. Kulawa Jovine myślała o kuzynie, który kochał ją, zanim miała wypadek z nogą, a potem wyjechał i zapomniał — *zapomniał*, jak w romansie Tostiego. Helena De Pasquale, dwudziestoosmioletnia panna, która już cztery razy była narzeczoną, miała powód do smucenia się. Sio-

strze jej, Józci, drżały wargi, jakby się miała rozplącać, grając naiwną.

Ale najuważniej słuchano w rogu salonu, gdzie kółko dziewcząt przestało rozmawiać, wsłuchując się ze znawstwem. Były tam siostry Fusco, piętnastoletnie bliźnięta, śpiewające do roku rolę dwóch Ajaksów w „Pięknej Helenie.” Oklaskiwano je, bo były młode i malutkie, a one przybierały tony pierwszorzędných śpiewaczek, znanych w kraju i za granicą.

Była Eliza Costa, długa i chuda dziewczyna, o dużym brzuchu, z powodu którego wszyscy brali ją za mężatkę. Sprawiało to jej wiele zmartwień. Od dziesięciu lat studyowała śpiew operowy, pbbisywała się przed wszystkimi dyrektorami i impresaryami i nie udawało jej się dostać do teatru.

Była Gelsomina Santoro, uczennica konserwatorium, nie umiejąca dobrze czytać, ani pisać, ale pewna, że „zrobi karierę,” bo jest piękna.

Całe to koło słuchało muzyki ze zmarszczonymi brwiami. Obie Fusco żałowały biednej śpiewaczki, zmuszonej tak zarabiać, gdy może udałoby jej się lepiej wykierować. Costa wydymała pogardliwie wargi. Gelsomina miała zawsze pogodny wyraz na pięknej i głupiej twarzy.

Śpiewaczka skończyła. Nikt nie zaklaskał. Wahała się przez chwilę, potem zaczęła obchodzić zgromadzenie z tacką w ręce. Miała głowę spuszczoną i minę na wpół upokorzoną, na wpół drwiącą, jakby pewna była, że nie wiele zbierze.

W rzeczy samej od tych osób zebrała zaledwie pięć soldów. Schowała je do kieszeni, wzruszyła ramionami i usiadła w kącie, czekając, aż jej znów grać każą.

Dwa soldy otrzymała od jednej z trzech sióstr Cafaro, obywaterek ziemskich, spędzających pół roku w Neapolu. Były ogromnie bogate, tak bogate, że

nikt nie śmiał starać się o nie. I oto starzały się powoli. Najstarsza miała trzydzieści lat, średnia dwadzieścia pięć, najmłodsza dwadzieścia dwa. Były piękne, eleganckie, świetnie wychowane; uchodziły za emancypantki, bo zarządzały same majątkiem. Nie mając matki, przyjmowały, wydawały bale. Były dobre i litościwe, pomimo tego nikt się nie trafiał.

Razem z nimi siedziała pani Matylda Tuttavilla, wielka przedsiębiorczyni małżeństw. Była to piękna mieszczańka, zaślubiona szlachcicowi, biedna, ale przyjmowana w arystokracji. Czy to z upodobania, czy z dobroci, czy nie mając nic innego do roboty, swatała gorliwie małżeństwa. Marzeniem jej było wydać zamąż wszystkie znajome panny i pożenić wszystkich młodych ludzi. Mamy i córki uwielbiały ją. Cały dzień przepędzała na spiskowaniu, przejeżdżała z jednego domu do drugiego, godziła zwaśnionych, nawiązywała miłości.

Obecnie zajęła się losem siostr Cafaro, ale nie mogła znaleźć nic odpowiedniego. Były one bogate i zazdrościły potajemnie biednej dziewczynie, wychodzącej w osiemnastym roku życia za biedaka, którzy potem dają sobie przecież jakoś radę.

Wszyscy znali panią Matyldę. Krążyła dokoła, zatrzymując się i witając co chwila. Dwie, czy trzy mamy konferowały z nią półgłosem.

Była godzina pierwsza. Od morza płynął moczny, słony zapach. Ruch się zmniejszał. Signor Canavaccinolo usunął się do swego pokoju i zajął śniadanie. Na miejscu jego zasiadł brat. Znikły już siostry De Pasquale, Katarzyna z Anusią, Fusco, Costa i Santoro. Tylko Hania Manetta została jeszcze. Ku ogromnemu jej zadowoleniu, miały bardzo wysoki numer. Matka, nie mogąc inaczej złości swej wyrzucić, uszczypnęła ją dwa razy w ramię. Siostrzyczka zjadła owoce, ciskając pestki w morze.

Pani Brown zabrała do swego powozu Henrykę Caputo z matką, szczęśliwe, że nie potrzebują iść piechotą. Panny Altifreda ukazały się z rozpuszczonymi włosami po kąpieli, doprowadzając do wściekłości zadrosne.

Teraz zadyszane, kłócąc się z sobą, przybyły siostry Sanges. Było ich pięć: brzydkie, źle ubrane, pokryte fałszywymi klejnotami, wiecznie zakochane, odbijające sobie narzeczonych, znane były jako zawołane tancerki. Przybyły z krzykiem. Gdy przyszło do kupienia biletu, okazało się, że żadna nie wzięła pieniędzy. Wymyślając sobie wzajemnie, poszły układać się z signorem Canavaccinolo, który wpuścił je darmo, ze zwykłą swą dobrocią neapolitańską.

---

## II.

Słodki dla zmysłów i serca, zapadał powoli nad Neapolem wieczór wrześnieowy. W powietrzu pełno było zapachów kawy i kwiatów. Tu i owdzie, na ciemnym balkonie, widniała jakaś biała postać, wpatrzona w gwiazdy. Dźwięczały miłosne tony gitar i mandolin, i głosy, śpiewające czułe pieśni. Ze wszystkich ulic płynęły fale tłumy do ogrodu publicznego Willa. Środkiem sunęły dwa szeregi powozów, omnibusów, tramwajów.

Ciągnęły rzędem powabne panienki, elegancy kawalerowie. Za nimi postępowali ojcowie, matki, wujowie, stare kuzynki, towarzysze i towarzyszki, cierpliwe i obojętne, ale istotnie wieczór ten niedzielny należał do młodzieży, której dość pogodnego nieba, przelotnej piosenki, pochwyconego spojrzenia, lekkiego uśmiechu, aby być doskonale szczęśliwą.

U bramy ogrodu tłum rozchodzi się w pięć szerokich alei, oświetlonych gazem.

Pierwszą aleją na lewo szli samotnicy, napróżno szukający duszy bratniej. Drugą postępowały sielanki związane i rozkwitające pod pobłażliwym okiem matek, pary miłosne, które może się pobiorą.

Niedaremnie aleja ta nosi nazwę „alei zakochanych.” Tak tam można przyjemnie przechadzać się pod rękę, wolniutko, rozmawiając półgłosem, zamieniając te słowa drżące, nabrzmiałe uczuciem, które równają się pocałunkom.

W wielkiej alei środkowej spacerują towarzysstwa, dwie lub trzy zaprzyjaźnione rodziny, umawiające się z niedzieli na niedzielę. Panienki idą z panienkami, mamy z mamami, z tyłu postępują młodzi ludzie z kwiatkami w dziurce od guzika.

W pierwszej alei na prawo, gdzie jest podwójny rząd lamp, chodzą wszyscy, którzy pragną, by ich widziano. A więc dziewczęta próżne i kokietki, przekładające zwyczajny podziw wielu przechodniów nad prawdziwą miłość jednego; młodziutkie mężatki, które pierwszy raz przywdziały jedwabną suknię i kapelusz z piórami; wdowy, chcące wyjść za mąż i nie mogące się zdecydować, a tymczasem napawają się tym stanem przejściowym, tak łechcącym próżność kobiecą; ludzie, chcący zwrócić uwagę i wreszcie ci, którzy się uważają za niezwykłych.

Ostatnia aleja na prawo, zwana „filozoficzną,” mała, wązka i ciemna, o tej porze bywa pusta.

We wszystkich tych czterech kierunkach, pomiędzy drzewami i posągami wodotrysków, mijają się nieskończone szeregi cieni kobiecych, gdyż płeć piękna przeważa w tych spacerach wieczornych Neapolu.

Pod pomnikiem Jana Chrzciciela Vico, zadumanego filozofa, pomiędzy wieńcem świateł, gra muzyka. Naokoło otacza ją publiczność. I, podobnie jak w par-

lamencie, tworzy się prawica i lewica. Prawica, złożona z osób dojrzałych, z panien bardzo eleganckich, które uciekają się do sztuki, aby wyglądać jeszcze młodo; z mężatek niezadowolonych ze swego losu i pragnących się pocieszać; ze starych kobiet, ubranych jeszcze biało, malujących włosy i usta.

Lewica natomiast, nieco demokratyczna, złożona jest z dziewcząt szczerze młodych i szczerze ładnych, które nie potrzebują łątać wdzięków strojem, a które oczekują narzeczonego lub wielbiciela. Są tam panie, pragnące się pośmiać i pożartować; studenci, szukający towarzystwa, a nie okazji do „pokazania się.”

Prawica udaje dumną i nie patrzy na lewicę, zazdroszcząc jej w duszy przywilejów młodości i urody; lewica, zadowolona z siebie, nie widzi prawicy.

Kawiarnia Maryana Vacca, ogromny zakład lustrzany, jarzący się światłem, gromadzi potrochu przedstawicieli jednej i drugiej partii, pomiędzy którymi krążą obserwatorowie, niezdecydowani lub nie zajmujący się ciałem i duszą.

Stary Brown siedział obok małżonki, z brodą opartą na gałce od laski i przez cały wieczór milczał. Napróżna młoda żona usiłowała poprawić mu humor, uśmiechając się, wszczynając rozmowę, obrzucając go błagalnymi spojrzeniami.

Parę godzin wcześniej stary złośnik, dowiedziawszy się, że Małgorzata Falco wybiera się do Willi z narzeczoną, bratem Elwiry, powiedział niespodzianie:

— I my pojedziemy. Niech nie mówią, że więzę żonę w domu.

I w próżności starca zmusił żonę do wyjścia, choć się opierała temu. Kazał jej włożyć białą, haftowaną suknię, w której wyglądała czarująco, i sam



wetknął jej brylanty w uszy. Ona pozwalała na wszystko, nie dowierzając tej niezwykłej dobroci. W rzeczy samej, zaledwie znaleźli się w głównej alei i ludzie zaczęli się oglądać za uroczą kobietą, stary poczuł ukąszenie zazdrości i zamknął się w grobowem milczeniu.

Ona opuściła głowę, blada, przybita, nie mając odwagi rozmawiać. Spoglądała z zazdrością na brata i Małgorzatę. Byli biedni, ale młodzi, piękni, zakochani: pobiorą się i będą szczęśliwi. Gdy zwracała wzrok na zachmurzonego męża, łzy jej w oczach stawały.

Usiedli po prawej stronie, ona nieco naprzód, z opuszczonemi oczyma, narzeczeni z tyłu, pogodni, szepcząc półgłosem i napawając się pięknnością wie czoru.

— Widziałyście? widziałyście?—mówiła Filomena Sanges do reszty sióstr. — Ta Brown ma nowe kolczyki dzisiaj; Boże! Boże! jaka ta kobieta szczęśliwa!

— Ale jakaż to pokraka ten jej mąż! — zauważył Karol Finoza, urzędnik banku i narzeczony Karoliny Sanges.

— To co! — odparła ta ostatnia, wzruszając ramionami.—Jest bogaty i dosyć!

Karolowi zrobiło się nieprzyjemnie. Brał sto lirów na miesiąc i miał czekać jeszcze cztery lata na Karolinę. Dziś akurat okazał się wspaniałym, płacąc czternaście soldów za krzesła pięciu sióstr, braciszka i swoje.

Siostry Sanges, uczęszczające codzien do Willi, miały z temi krzesłami kłopot nielada. Często musiały szukać jakiegoś wielbiciela, któryby za nie zapłacił, ale najczęściej nie znajdowały nikogo i chodziły dokoła, dokoła, bez końca, po dwie, ostatnie

z braciszkiem. Zmęczone, musiały jeszcze iść piechotą do domu, na drugi koniec Neapolu.

Tego wieczoru Karolina przyłapała w bramie ogrodu narzeczonego, który musiał udawać wielkiego pana i oto siostry pyszniły się na krzesłach.

Muzyka grała walca Straussa, coraz więcej osób przybywa. Ukazały się siostry Galanti w nowych, różowych sukniach, które doskonale pasowały do ich cery...

— Wyglądają, jak biszkopciki w kremie żelatynowym — rzekła Concetta Sanges, najbrzydsza ze wszystkich.

— Najstarsza ma już trzydzieści dwa lata — rzekła Klara, która sama miała dwadzieścia osiem. — Do czego to podobne nosić wstążki przy kapeluszu, jak dziecko.

— Patrzcie, jakie łakome, idą do kawiarni na lody — odezwała się Karolina, któraby je sama chętnie jadła.

— Są bardzo miłe, szczególnie ta z czarnymi lokami — odparł Karol, chcąc się odemścić narzeczonej.

Ta spojrzała na niego dziko; od tej chwili kłócili się przez cały wieczór. Siostry nie wtrącały się do nich. Jedna z nich, Concettella, *robiła oko* do Pasqualina Jacobucci, jednego z wielu młodych ludzi, otaczających siostry De Pasquale. Był to młody doktor, który za parę lat może się ożeni z młodszą. Concettella oparła głowę na rękę i zaczęła wzdychać interesująco.

Siostry De Pasquale, nbrane w białe suknie z czarnym aksamitem, z pociemnionymi brwiami i odrobiną różu na wargach, wyglądały prześlicznie. Śmiały się, pokazując ząbki, i rozpierały na krzesłach, jak na scenie.

Jan Latenza, bogaty student z Kalabryi, kazał

przynieść napoje z kawiarni dla wszystkich. Siostry Sanges były oburzone, bo im nikt nie ofiarował nawet szklanki wody.

Eugenia Malagrida, ściśnięta więcej niż kiedykolwiek w świątecznej niebieskiej jedwabnej sukni, rozmawiała z kulawą Javime: obie uważały, że nie wypada jeść publicznie. Henryka Caputo, wystrojona w niebieskie wstążki, które jej podarowała Eugenia, była tego samego zdania; była ona zawsze tego zdania, co osoba, która ją brała do teatru, czy do powozu.

Ruch stawał się trudnym. Tłum, nie znajdując już krzeseł, płynął powolną procesją dokoła muzyki.

W powietrzu unosił się gwar, dym z cygar. Panowało powszechne ożywienie. Tylko biedna Elwira Brown była coraz smutniejsza, myśląc o scenie, którą jej w domu wyprawi mąż.

Od chwili jak usiedli, jakiś młody oficer nie spuszczał z niej wzroku. Mąż spostrzegł to i usiadł tak, aby ją zasłonić. Oficer natychmiast zmienił miejsce i nie przestał się wpatrywać. Biedna ofiara, nie podnosząc oczu, drżała jak winowajczyni. Chciała pójść i nie miała serca; brat i narzeczona jego byli tak szczęśliwi!

Nie chcąc patrzeć na nikogo, aby nie wzbudzać podejrzeń w mężu, wlepiła oczy w różowy punkt między drzewami, który to bladł, to znów się rozplamieniał. Był to maleńki, jedyny wybuch Wezuwiusza, którym nikt się nie zajmował w Neapolu.

Muzyka grała teraz *kawałki koncertowe*, a ciżba poruszała się rytmicznie, do taktu. Piękność wieczoru wywabiła wiele takich osób, których się nigdy nie widziało. Najnędzniejsze rodziny mieszczańskie ściały z odległych krańców Neapolu.

Matylda Tuttavilla ciągnęła za sobą dobrze uro-

dzonemu, ale zrujnowanego męża i dwóch kandydatów do stanu małżeńskiego. Pierwszym był Artur Ajello, urzędnik w prefekturze, piękny chłopiec, którego chciała ożenić z Henryką Caputo. Uczynek miłosierny. Drugim był Jan Pasanisi, obywatel z Salerno, przeznaczony dla jednej z bogatych Cafaro.

Przybywszy do grupy, gdzie była Eugenia i Henryka, usiadła na chwilę, wskazując mamie Caputo oczyma na pretendenta. Ten, aby nie zwracać uwagi, zaczął rozmawiać z Eugenią, na której szerokiej twarzy widniała radość, tak rzadko bywało, aby się ktoś nią zajął!

Po dziesięciu minutach, Matylda, nie mając czasu, wstała, uprowadziła z sobą Jana i zaczęła szukać siostr Cafaro. Siostry Sanges napróżno się umizgały; jeszcze będąc panną pokłóciła się z niemi i nigdy odtąd nie chciała się pogodzić. Uważała, że są za ordynarne i źle wychowane; nigdy nie będzie można znaleźć dla nich męża.

Trzy bogaczki siedziały rzędem, ubrane strojnje i oryginalnie, z mnóstwem klejnotów, na co tylko panny starsze i bardzo majątne mogą sobie pozwolić. Z jedną rozmawiał młody adwokat, Peppino Sarnelli, zakochany może, ale nieśmiały. Dwie drugie nie wtrącały się do nich i patrzyły w milczeniu na spacerujących, nie mówiąc nic do siebie, ani do starej damy do towarzystwa.

Gdy nadeszła Matylda, druga z siostr oderwała się od kontemplacyi i zaczęła rozmowę z nowozapoznanym konkurentem, bo dla niej właśnie był przeznaczony. Najmłodsza, osamotniona, zaczęła się rozglądać dokoła, wiedząc, że jej, która ma dopiero dwadzieścia lat, nikt nie przyprowadzi narzeczonego i że musi liczyć na swoje tylko siły.

Nie mogąc znaleźć miejsc, Katarzyna Borello i Anusia Casale wyszły za koło świateł, *do lasku*.

Jest tam ciemno, natomiast woń kwiatów silniejsza. Pomiędzy drzewami błędzą ci wszyscy, którzy unikają tłumu, a pragną ciszy, świeżości i powietrza morskigo, gdyż lasek ten przylega do wybrzeża. Pary, spotykające się tam, nie patrzą na siebie; każda jest zajęta sobą. Mężczyzna pochyla się ku kobiecie, przyciskając ją do siebie. Ona, zwieszona na jego ramieniu, uśmiechem odpowiada na słowa miłości.

Cały lasek pełen był tych szeptów i wielkiego dreszczu uczucia. Katarzyna Borrelli, udająca sceptyczną, bo przeczytała wiele powieści, nie mogła się dziś obronić wpływowi czarownicy nocy. Przesiąknięta zarówno złemi książkami, jak poezją idealistów, szła naprzód, pocieszna ze wzruszeniem i binoklami, i mówiła półgłosem wiersze Prati'ego:

Ventiquatr'anni avea quella gentile...

Anusia słuchała z westchnieniem, myśląc o studencie prawa, który ją zdradził, ale za nią postępował inny student, tym razem z medycyny, idąc krok w krok za niemi. Palił duże cygaro i, obracając się nieco, mogła dojrzeć błyszczący punkcik. Nowa sielanka zawiązywała się powoli. Katarzyna wypowiedziała pełną retoryki przemowę o niepotrzebnej miłości.

Siostry Fusco, dwaj Ajaksowie z teatru, siedzieli w towarzystwie dwóch młodzieńców, stale im nadskakujących. Matka, stara, nachmurzona złośnica, strzegła ich pilnie, drzemiac nieco.

Brakowało jeszcze Casty, ale ta nie wychodziła wieczorem, lękając się o głos Gelsomina Santoro siedziela na werendzie, zkad się było najlepiej widziana.

Około jedenastej, gdy muzyka grała ostatni ka-

wątek, tłum zaczął się przersedzać. Najpierw odjechały rodziny drobnomieszczańskie, korzystające z omnibusów. Nie było to tak łatwym; dziewczęta korzystały z każdej chwili, aby przedłużyć miłosny wieczór.

Jedynie Marya Jovine, kulawa pieszcotka o niebieskich oczkach, wyszła spieszenie razem z piękną mamą do powozu. Najlepiej czuła się, siedząc; wszystkie przyjemności wieku młodego, połączone z ruchem, były jej wzbronione.

Elwira Brown z mężem, bratem i Małgorzatą zabrali się także do odwrotu. Narzeczeni szli na przód, osobno, ale ręce ich ścisnęły się ukradkiem. Za nimi włókł się stary, prowadząc żonę pod rękę. Uderzał laską o chodnik w ataku wścieklej zazdrości, bo słyhać było z tyłu brzęk szabli oficera.

— Nigdy już nie przyjdziemy do tej Willi — mruknął stary świszczącym głosem.

— Nigdy już — zgodziła się żona z pokorą, politykując łzy.

Przez aleję ciągnął nieskończony korowód sukien kobiecych.

Katarzyna i Anusia, napiwszy się wody z sokiem dla uśmierzenia smutku, wracały do domu. Mówiły razem wiersze Alearda Aleardiego:

Un giovanetto pallido e bello...

Mówiły tembardziej, że nowy student Anusi był bladym blondynem.

Panny Fusco, wszedłszy na werendę, przyłączyły się do Gelsominy. Zaczęły mówić o swych marzeniach teatralnych. Na jesieni wystąpią w „Orfeuszu w piekle.” Jedna z siostr będzie *Opinią publiczną*, druga ma nadzieję dostać rolę *Miłości*. Będą śpiewały jedną strofę za ledwie, ale będą miały białą i krótką tunikę. Obaj wielbiciele zadrżeli, przejęci zazdrością, która leży we krwi Neapolitańczyków.

Gelsomina marzyła o występach w teatrze włoskim na Malcie, gdzie śpiewają wszystkie debiutantki piękne i bez głosu.

Panny De Pasquale zostały jeszcze. Przyzwyczajone z teatru chodzić spać późno, były świeże i różowe i nie troszczyły się, że matka zasypia ze zmęczenia.

Teraz można było rozmawiać swobodniej, gdy ucichła nieznośna muzyka. Otaczało je grono młodzieży. Rozmawiając, przechylały głowy i robiły słodkie oczy. Zaproponowano kolację za miastem. Przystąpiły natychmiast. Te posiłki nocne przemawiały do ich artystycznej wyobraźni. Matka nigdy się nie sprzeciwiała. Ruszyli.

Concettella Sanges wściekała się ze złości. Była pewna, że Jacobucci patrzy na nią, że odbija narzeczonego Helenie.

Teraz siostry rozpoczęły atak przeciwko panom Galanti. Emilia rozmawiała z narzeczonym, młodym doktorem; Ryszardę otaczało trzech panów. Złośliwe Sanges dostrzegły, że Marysia, najmłodsza, oczkuje z młodym oficerem, który nie spuszcza z niej wzroku. Posypały się obmowy. Szczególniej Karolina była nieubłagana.

— Cóż to szkodzi—rzekł jej narzeczony.—One mają posag wojskowy.

— Zkąd wiesz? Jakim sposobem? dowiadywałeś się, co?

— Wiem—odparł krótko.

Karolina spojrzała na niego tak okrutnie i podejrzliwie, że spuścił oczy, zaczerwieniony.

Kawiarnia opróżniała się. Co chwila ktoś wstawał. Przy wyjściu panny Galanti spotkały się z Eugenią Malagrida i Henryką. Wyszły razem.

Artur Aiello, urzędnik przeznaczony dla Henryki, spoglądał czule na piękną dziewczynę, ale szedł

obok Eugenii, przystosowując się do jej gęsiego chodu. Na końcu tego długiego pochodu postępowały, rozmawiając, trzy matki: Caputo, pokorna, podobna do służącej, usuwająca się z drogi; Malagrida, tłusta, z dobroduszną zбогаconej mieszcżki; Galanti, wysoka, silna, z wąsikami i silnym rozkazującym głosem.

W alei Matylda Tuttavilla przyłączyła się do tej procesyi: sprawdziła, jak rzeczy stoją między Arturem i Henryką, a uznawszy, że dobrze, zaczęła mówić o mężu dla Ryszardy.

— Ma przyjechać na przyszły tydzień do Neapolu obywatel ziemski.

Matka słuchała, śmiała się i rzekła, że pozostawia wolną wolę córkom, a Ryszarda szczególnie jest niezawista; nie dziwiłoby jej, gdyby wcale zamaż nie wyszła.

Trzy mamy odezwały się chórem. Gdyby mogły rozpocząć nanowo, nigdyby zamaż nie wyszły. Mówią to zawsze córkom, ale te uparte istotki chcą naśladować mamy; co z nimi zrobić?

Matylda się oburzyła. Cóż jest lepszego nad małżeństwo dla dziewcząt? I pomimo kłopotów z mężem, szlachcicem, ale biednym, zaczęła chwalić stan małżeński w słowach pełnych entuzjazmu, nawracając na swą wiarę.

Cafaro zostały jeszcze, zapomniawszy o późnej godzinie. Teresina, rozmarzona, słuchała słodkiej mowy Peppina, i wszystkie podejrzenia, jakie bogata panna żywić może przeciwko biednemu konkurentowi, usnęły w jej duszy. Gabryela rozmawiała z Janem, ważąc pilnie każde słowo, każdy ruch jego. Carmela, najmłodsza, słuchała w milczeniu, znużona, ale cierpliwa, pozwalając siostrzom regulować interesy sercowe. Wiedziała, że z ich małżeństwa i ona korzyść



odniesie. Gdy dano hasło powstania, ujęła spokojnie pod rękę nauczycielkę, puszczając naprzód obie pary.

O trzy na dwunastą zostały już tylko siostry Sanges, pomimo zmęczenia po całym dniu pracy, gdyż nie miały służącej. Kłóciły się teraz z powodu panien Altifreda, które pojechały na jesień do Szwajcaryi, podczas gdy wszystkie dziewczęta ze sfery mieszczańskiej zostały w Neapolu. Mały braciszek płakał, że mu się spać chce. Karol, aby się pogodzić z narzeczoną, zaproponował kupno fig indyjskich. Znajdą je na placu Muncypalności, idąc ku domowi, gdzie Sanges mieszkają.

Ogarnęła je gwałtowna ochota na te figi. Podczas gdy cztery kłóciły się dalej, Karolina odeszła z Karolem, dumna z jego wspaniałości.

O północy Willa była pusta. Zgaszono światła. Noc gwiaździsta, głęboka, łagodna płynęła nad ogrodami. Tylko w cieniu żarzył się oddech Wezuwiusza, to blado-różowy, to ognisty, prawie groźny.

---

### III.

Był to duży, kwadratowy pokój, nietapetowany wprost bielony na żółto. Na cegłach, wiecznie zakurzonych, pomimo wody, którą spryskiwała je pani Caputo, nie było dywanu. Pod ścianą stała kanapka i dwa fotele o zniszczonem pokryciu i narzutkach szydełkowych roboty Henryki. Kilka krzeseł lakierowanych na czarno, stół, stary fortepian, fotografie na ścianach, szkatułki i bombonierki spłowiałe, oraz ze czterdzieści wyplatanych krzesełek—to było całe urządzenie.

Wchodziło się do tej sali balowej przez ciemny przedpokój, gdzie stał stół, na którym składano

zwierzchnie okrycia, i przez ubogi pokój, gdzie za firanką kryły się łóżeczka matki i córki. Przedpokój oświetlała lampka naftowa, pierwszy pokój był zupełnie ciemny.

Cała siła iluminacji skupiła się w sali balowej. Dwie lampy stały na stole, jedna olejna na etażerce, dwie świece w lichtarzach na fortepianie. Świece jednak były tymczasem zgaszone, dla oszczędności.

O ósmej Henryka szyła jeszcze za firanką ostatnie ozdoby swego ubogiego stroju. Miała włosy w nieładzie, biały kaftanik i odpowiadała cierpko na szorstkie uwagi matki.

— Trzeba, ażeby dziś mi się oświadczył, rozumiesz? Nie chcę go mieć ciągle w domu.

— I ja także. Może go mama wypędzić, nie mi na tem nie zależy.

— Dlaczego wciąż chodzi do Malagridów?

— Bo ja tam jestem, tak mówi.

— Tak, tak! Takie postępowanie jest mi podejrzane. Przychodzą mi pewne myśli do głowy.

— Naprzykład?

— Że cię puści w trąbę dla Eugenii.

— Eugenia jest za brzydka.

— Ale ma pieniądze, ma pieniądze, ma pieniądze—zaśpiewała na trzy nuty stara.

Henryka spuściła głowę na te słowa, prześladowając ją przez całe życie.

Zapukano do drzwi.

Obie kobiety spojrzały na siebie zakłopotane. Żadna nie mogła otworzyć, a służącej nie miały. Musiał to być jakiś gość zawczesny.

— Może to pułkownikowa — mruknęła stara. — Zawsze jej czegoś brakuje.

Uspokojona, zawinęła się w starą chustkę i poszła otworzyć.

Henryka przeglądała się w pozieleniałem luster-

ku. Nigdy jeszcze nie odczuwała tak dotkliwie nędzy swej, jak wyprawiając wieczorki sobotnie w tem ubogiem mieszkaniu, dawanem z łaski przez władzę wojskową.

Matka wróciła, mrużąc.

— Czego chciała pułkownikowa? — zapytała dziewczyna.

— Chciała czterech krzesel, które mi pożyczyła, bo ma gości.

— Brawo! Będzie mało krzesel. Gdzie ludzie usiądą?

— Kawalerowie nie potrzebują siadać — odparła matka, upinając we włosach kamelię batystową.

— A nafty do lamp nalałaś, mamó?

— Nalałam, ale będzie mało. Nie są pełne.

— A jeśli zgasną?

— Zgasną, zgasną!... O północy niech się wynoszą, wyrzucę ich!

— To już lepiej było wcale nie prosić.

— Nie, moja kochana, co tydzień tańczą u Galantich, u Malagridów, ja nie chcę zostać w tyle, rozumiesz?

— Ale oni mają pieniądze — odparła dziewczyna, pudrując odsłoniętą szyję.

Była to wieczysta zwrotka, którą matka rzucała w twarz córce, a córka matce. Nadawało to ich poufnym rozmowom charakter wojowniczy.

Henryka przeglądała się w lustrze, zadowolona ze swej powierzchowności. Jest bielsza niż Galanti, smuklejsza niż Malagrida, różowsza niż Falco, miłsza od Borrelli, wyższa od Casale, piękniejsza od wszystkich razem dziewcząt, które przyjdą na wieczorek.

— Gaetanino Ceraso nadskakuje ci? — zapytała nagle matka.

— Dawniej trochę, teraz nie, przez Artura

— Artur, Artur, trzeba zakończyć z tym Arturem. Pomówię dziś z Matyldą.

— A kto będzie grał na fortepianie? Ja nie myślę.

— Garbus, Cicillo De Marco. Zaprosiłam go umyślnie. Powiem mu parę komplementów, to będzie grał przez cały wieczór.

W godzinę później pokój pełen był gości. Na honorowej kanapie i fotelach zasiadły mamy, wachlując się i chwając wzajemnie swe córki.

Panny siedziały jedna obok drugiej, rzędem. Nie tańczono jeszcze; wpiery było trochę muzyki. Za krzesłami dziewcząt stali kawalerowie, rozmawiając półgłosem, podczas gdy donna Candida Seoppa, brzemnienna od sześciu miesięcy, śpiewała z uczuciem romans Denzy „Julia.”

Eugenia Malagrida przywdziała na wieczór ten czarną aksamitną suknię, w której była szczuplejsza i przystojniejsza. Gorset, sprowadzony umyślnie z Paryża, zmniejszył niesłychanie objętość jej brzucha. Prawda, że była twarda, jak kłoda drzewa, i chwilami bladła, nie mogąc oddychać.

Henryka straciła nieco humor, widząc ją tak elegancką, bo wiedziała, że Eugenia sprzyja Arturowi, i nie miłoby jej było stracić go w ten sposób. Ale musiała przyjmować przyjaciółki, umieszczać ich okrycia na łóżku, starając się zatrzeć ubóstwo sali, nędzne oświetlenie, brak krzesel uśmiechem pięknej dziewczyny, która nie posiada nic więcej.

Nikt zresztą nie okazywał, że widzi to ubóstwo. Młodzież zebrała się dla zabawy, tańca i miłości. Tańczyłaby chętnie nawet pod gołym niebem.

Pękano ze śmiechu podczas popisów Gaetanina Ceraso, który opowiadał przygody pewnego zakochanego, który, szukając w kościele ręki ukochanej, przez omyłkę ścisnął w zmroku rękę jej matki, i ta odrazu ofiarowała mu się za żonę.

Gaetanino był skończonym inżynierem, uprawiał przytem z powodzeniem śpiew komiczny i deklamacyę. Szkodziło mu to jednak u dziewcząt, które wolały melancholijnych, a przynajmniej poważnych. Tak samo myślała Henryka Caputo, spoglądając na Artura, który zamyślony gładził włosy.

Śmiała się i biedna Elwira Brown, ubrana dziś w nową różową suknię i wspaniałe rubiny. Obok niej siedział mąż w rudej peruce. Póki nie tańczono, bawił się dobrze, nie odstępując żony. Był dziś bardzo czuły i trzymał ją wciąż za rękę. Ona schylała głowę, zmieszana, nie śmiać patrzeć na nikogo.

Czuła, że wzbudza litość, zimną ciekawość i pogardę. Czuła, że ją potępiają, iż młoda, piękna i biedna mogła wyjść za bogatego starca. Najpobłażliwsi, żałując jej, nie uważali za tak nieszczęśliwą: miała przecież tyle pieniędzy, a sprzedała się dla nich.

Ona jedna tylko wiedziała, że poświęciła się dla rodziny, wpadającej w coraz większą nędzę: dla starych, chorowitych rodziców, dla braci, zdolnych i zacnych, aby ich wykształcić. Ale komu to wszystko możnaby powiedzieć? Zresztą poco? Niech ją mają za najchciwszą z kobiet, która oddała się trupowi za brylanty i jedwabie. Szlachetna ofiara życia spełniała się w cichości, obgadywana niesprawiedliwie przez ludzi.

Na progu stał Artur Aiello, w świątecznym ubraniu, z pączkiem kamelii w dziurce od guzika. Henryka przysunęła się nieznacznie, kiedy Fryderyk Pietraroia deklamował wiersze.

— Czy to dla mnie ta kamelia?...

— Dla ciebie—odparł, wyjmując kwiat, po lekkiem wszakże, niedostrzegalnem wahaniu.

Henryka przeszła przez salę promieniejąca, niosąc w tryumfie kamelię.

W tej chwili wszczął się hałas: odsuwano krzesła. Młodzież szykowała się do tańca.

Gennaro Mascarpone, wodzirej, uprzętał salę i krzyczał od pięciu minut:

— Walc, *en place!*

Pary stawały powoli na wezwanie. Henryka podeszła do garbusa, Ciccilla de Marco, i z uśmiechem, z czułymi spojrzeniami, prosiła o walca, o tego jednego, jedyne, tylko aby zacząć.

Złośliwy garbus przyjmował umizgi, dawał się prosić i odmawiał, udając niezadowolonego. Henryka musiała mu przyrzec, że przetańczy z nim kadryla.

Pierwsze tony walca, choć fortepian był rozstrojony, podnieciły młodzież.

— Walc, walc!—wołał Gennaro Mascarpone.

Henryka szukała Artura. Było zwyczajem, że każdy rozpoczyna bal z wybraną.

Emilia Galanti stała ze swoim doktorem. Marysia zwieszała się na ramieniu oficera, który już oświadczył się formalnie. Małgorzata Faleo tańczyła z bratem Elwiry, Anusia Casale z Fryderykiem Pietraroia. Ale gdzie był Artur? Może i on jej szuka?

Wreszcie pary ruszyły, i Henryka dostrzegła go z Eugenią Malagrída. Nie patrzył w jej stronę, jakby zawstydzony. Eugenia miała w rzadkich, ale kunsztownie uczesanych włosach pączek kamelii, zupełnie podobny do tamtego.

Głęboka boleść przeszła jej serce, poblądła, zdawało jej się, że cała sala wiruje.

Gennaro Mascarpone, piękny chłopiec o francuskiej wymowie i pretensjonalnej minie, zaprosił ją do tańca. Tyranizował wszystkich, zmuszał dziewczęta,

ażeby tańczyły. Odmówiła ruchem głowy, nie mając siły mówić. Patrzyła ciągle na grubą Eugenję, walczącą w objęciach Artura, którego uśmiech melancholijny wnikał do serc dziewczęcych.

Gaetanino Ceraso odczuł ten dramat potajemny, doszedł do Henryki i spytał pocichu.

— Dlaczego pani nie tańczy?

— Bo nie mam ochoty.

— Niech pani przetańczy raz ze mną — rzekł łagodnie.

Spojrzała, odgadując, że się domyślił. Wzruszona, chciała spełnić jego prośbę, zemścić się na Arturze. Ale w tej chwili zobaczyła go takim jak opowiadał przygody zakochanego, śmieszny, pobudzający do śmiechu całe towarzystwo.

— Nie—rzekła, nie chce mi się.

Galanti były dziś bardzo powabne, Małgorzata urocza, nawet Eugenia wyglądała znośnie w paryzkim gorsecie.

Pośród tych rozbawionych, zakochanych, strojnych i szczęśliwych istot odczuła całą nędzę swej starej, pranej sukienki, ciemnego mieszkania, udzielonego z łaski. Fala goryczy przebiegła jej po żyłach.

Pary przechadzały się dla odpoczynku. Matki usuwały nogi, ażeby nie przeszkadzać spacerującym i uśmiechały się do córek. Mama Caputo mówiła coś żywo do Matyldy Tuttavilla, która słuchała bardzo zafrasowana.

Henryka miała dużo roboty. Ryszardzie Galanti zachciało się pić, zaprowadziła ją do kuchni. Na stole stał talerz z zimnym makaronem i kawałek sera, wieczerza Henryki. Wodę podała w szklance z zielonawego szkła, zaczerpniętą z kubekka, stojącego na podłodze. Ryszarda brzydziła się wypić, ale bała się, że obrazi Henrykę.

Potem Emma Froggio oberwała sobie dwa guziki u sukni. Musiały pójść do sypialni świecąc sobie zabraną z fortepianu świecą, Henryka szukała pomiędzy częściami garderoby, rozrzuconymi na nieposłanych łózkach, napastrka, igły i nici.

Gdy wrócili do sali, układano kadryla *monstre*, w szesnastcie par, jakiego nie widziano jeszcze w tym domu.

Gennaro Mascarpone tyranizował swych przyjaciół, krzyczał i wymyślał. Ale do szesnastu par brakowało jeszcze trzech. Pani Galanti zgodziła się tańczyć, aby nie psuć zabawy młodzieży.

— Tańczysz ze mną kadryla? — szepnął Artur, gdy Henryka przeszła koło niego.

— Nie — odparła, nie odwracając się, jestem zajęta.

I poszła po swego kawalera.

Brakowało jeszcze jednej pary. Gennaro z despotyzmem wodzireja, któremu nic odmówić nie można, zaprosił panią Elwirę Brown, choć wiedział, że wyświadcza jej niedźwiedzią przysługę. Wszyscy znali zazdrość starego.

Elwira, pomieszana, opierała się słabo. Kilka par otoczyło ją z prośbą: bez niej nie będzie można tańczyć.

Mąż patrzył w górę, udając, że nie widzi spojrzeń, któremi błagała go o pozwolenie.

Ustaąpiła nareszcie. Gennaro powiódł ją w tryumfie, a stary pożółkł, jak cytryna.

W tej chwili spostrzeżono, że niema kto grać na fortepianie, gdyż garbus tańczył. Było parę minut zamieszania i rozpacz.

Mascarpone, wściekły, mruzczał, że nie jest przyzwyczajony prowadzić tańce w domach, gdzie niema przynajmniej jednego grajka.

Nakoniec Matylda Tubbavilla, widząc smutek



młodzieży, poświęciła się i zasiadła przy fortepianie, wołając, że muszą się zadowolić starami kawałkami.

Rozpoczęto.

Wszyscy dziwili się pocichu Henryce, która z wielką równowagą ducha tańczyła z garbusem.

. . . . .

O wpół do dwunastej dziewczęta okrzykiwały Gennara, prosząc, aby urządził kotyliona.

On się opierał, mówił, że nie ma przyborów, kwiatów, szarf, orderów. Dziewczęta wołały, że to nic nie szkodzi; on ma tyle pomysłów, wykombinuje jakieś figury, zadowolą się wszystkim, byleby tańczyć. Pocichu dodały, że jeżeli nie, to mamy zechcą pójść do domu.

Gennaro dał się zmiękczyć i poszedł konferować z signorą Caputo i Henryką, aby mieć przynajmniej kilka przedmiotów.

Matka i córka robiły dobre miny, ale były zakłopotane. Jedno krzesło, należące do synowej majora, złamało się w galopie. Trzeba będzie jutro odkupić.

Świece miały już tylko dwa cale długości; nafa się wypalała; Matylda zerwała dwie struny fortepianu. O północy z pewnością pułkownikowa wyprawi scenę za te awantury nocne, jak było zeszłej soboty.

Uśmiechały się jednak do Gennara, który żądał poduszki, zwierciadła i lichtarza z zapaloną świecą.

Henryka pobiegła po to wszystko.

Dwóch tancerzy przedstawiano damie pod nazwą dwóch kwiatów, róży i gardenii. Ona wybrała gardenię, zaczęli tańczyć, a drugi kawaler niósł świecę za nimi.

Cała sala śmiała się z nich. Gaetanino Ceraso, nosząc lichtarz za Małgorzatą i jej narzeczonym, któ-

rych los połączył, błaznował na różne sposoby, okazując rozpacz.

Ciccillo De Marco bił w klawisze, jak opętany, ogromnie dumny z tego, że tańczył kadryla z najpiękniejszą panną.

Potem zaczęła się interesująca figura z *przykłonieniem*.

Dama kładła poduszkę przed siedzącym kawale-rem, a on klękał. Zręcznością jego było upaść odra-żu na poduszkę, ona zaś starała się wysunąć ją z pod niego, aby stuknął kolanami o posadzkę.

Poduszka była wiotka, cieniutka, wątpliwej czy- stości, ale figura przykuła oczy wszystkich. Złośli-wość mężczyzny i kobiety ścierała się, badała, usiłując wydrzeć sobie wzajemnie zwycięstwo.

Ogłoszono Gennara królem wszystkich wodzi- rejów.

Katarzyna Borrelli, złośliwa jak zawsze, zmusi- ła wszystkich do upadku i nie tańczyła z żadnym. Fryderykowi udało się tańczyć z Elwirą. Eugenia od- mówiła, nie podobało jej się to. Henryka była zde- nerwowana, bo świeca się dopałała.

Matylda Tuttavilla rozmawiała z panią Malagri- da, podnosząc brwi wysoko, jakby zdziwiona czemś, co jej mówiła tłusta jejmość.

Dama siedziała w środku sali, trzymając w rę- ce lustro i chusteczkę. Panowie przychodzili się przejrzeć. Czyściła lustro przed tymi, z którymi nie chciała tańczyć i podawała temu, kogo wybrała.

W figurze tej ujawniały się naiwnie wszystkie sympaty ukryte. Młodzieńcy udawali drwiących i nie chcieli przychodzić. Uczuciom znanym lub podejrzy- wanym towarzyszył lekki szmer zachęty. Ale niewy- słowione zdumienie powstało, gdy Eugenia Malagrida, mająca sto pięćdziesiąt tysięcy posagu, odtrąciwszy

wszystkich kawalerów, wybrała Artura, którego uważano za narzeczonego Henryki.

Wszyscy spojrzeli na nią. Śmiała się nerwowo, bo druga świeca się wypaliła.

. . . . .

W kuchni, przy mętne światło przedpokoju donna Concetta Caputo lamentowała od kwadransa nad wszystkimi szkodami tego wieczoru. A po co? Żeby dać wyskakać się kozom, które potem będą ją obgadywały. Wyliczała złamane krzesła, wypaloną naftę, świece, mruzczała bez końca.

Henryka jeszcze w stroju balowym patrzyła na talerzyk zimnego makaronu, mający być dla niej kolacją, i płakała.

---

#### IV.

Wchodziło się przez długi korytarz i wielkie, ale ciemne i zabłocone schody na drugie piętro. Wchodziło się, nie meldując. W przedpokoju było pełno rozpiętych parasoli i ubrań, ociekających wodą.

Było to mieszkanie pana Józefa Froio, eks-kapitana gwardyi narodowej, u którego tańczono w karnawale co niedzielę, a teraz zebrano się dla półpostnego rozbicia garnka.

Pan Józef Froio był niedys lichwiarzem i pożyczal na fanty. Pomału zbogacił się i mając lat pięćdziesiąt, został kapitanem i szanowanym obywatelem.

Przez długi czas żył z Franceschellą, służącą, która również pożyczala na fanty, a tak dobrze i zęcnie, że zachwycony pan otworzył jej filię swego interesu. Filia szła świetnie, aż wreszcie pan Józef

zdecydował się ożenić z Franceschellą, która stała się po ślubie panią Franciszką, interes prowadziła dalej pokryjomu, prywatnie.

Ponieważ nie mieli dzieci, a skąpi nie byli, przyjmowali teraz u siebie, żądni zaszczytów i uznania. Co niedzielę tańczono u nich w karnawale. Trzy sale pełne były ludzi znanych i nieznanymi, przyjaciół ich przyjaciół, sióstr, kuzynek i znajomych. Gospodarstwo nie pytali o nic, byleby przychodzono i bawiono się.

Dom był wielki, umeblowany dziwacznie. Czerwona kanapa, niebieskie fotele, zegar *rococo*, dywan imitujący smyrneński, krzesła rozmaitych fasonów, kandelabry, z których żaden nie był podobny do drugiego — wszystko to wyglądało, jak w sklepie używanych rzeczy.

Znając historię pana domu, rozumiało się, ile rodzin nieszczęśliwych złożyło się na to umeblowanie.

Pani Franciszka podobna była do mieszkania. Na głowie, na rękach, na szyi, wuszech, nawet w pasie miała pełno szpilek, pierścionków, bransolet, łańcuszków; nosiła razem malachity i brylanty, perły i ordynarne złoto. Na piersiach jej wisiał medalion, z miniaturą ślicznej kobiety — kto wie, może jakaś pamiątka rodzinna.

Ale ci, którzy przychodzili tu na zabawę, nie uważali na to wszystko. Tak był przyjemny ten dom obszerny, doskonale oświetlony, w którym nie potrzeba nawet było ścisnąć dłoni gospodarza przy wejściu i wyjściu.

Pan Józef nosił zawsze czapkę gwardyi narodowej, przez pamięć swoich dawnych odznaczeń. Pani Franciszka z przyzwyczajenia ściemniała światła.

Uśniechali się do wszystkich, jak do starych znajomych, szczęśliwi, że jest pełno.

Tego wieczoru wszyscy stawili się w komplecie na *stłuczenie garnka*, w nadziei, że otrzymają nagrodę.

Panny De Pasquale, nie wyzywająco ubrane, przyprowadziły cały rydwan wielbicieli, i otoczone, śmiały się i bawiły z całą swobodą, jak u siebie w domu.

W głębi duszy trapiło je trochę smutku, że mimo tylu hołdów nie wychodzą zamaż.

Obie Fusco, Gelsomina Santoro, Eliza Costa stały przy fortepianie i, przewracając kartki nut, z minami znawczyń rozprawiły o muzyce.

Krażyły plotki, że Marya Fusco wychodzi za tenora z Teatru Nowego, który gra Anioła Pitou w „Córce pani Angot”. Druga chciała się zabić dla jakiegoś studenta, który ją porzucił.

Hanusia Manetta promieniała, gdyż matka, wyczerpawszy cały zapas szturchańców, zgodziła się na małżeństwo jej z Wincentym. Mieli czekać na siebie pięć lat, ale tymczasem chodzili już wszędzie razem. Teraz zaczęły się sceny dla Adeliny, młodszej siostry, której przyszło do głowy zakochać się w synu szewca. Codzień otrzymywała kułaki, ale się nie zrażała...

I dziś ukochany zdołał się wślizgnąć do tego domu.

Katarzyna Borrelli i Anusia Casale spacerowały pod rękę. Ta ostatnia stanowczo się kochała we Fryderyku Pietrarroja, który miał nadejść za chwilę.

Emma Froggio zgubiła na schodach obcas od bucika i stała zawstydzona w kącie, chowając nogę pod krzesło. Na szczęście nie tańczono, bo był post, a pani Franciszka była pobożna.

Siostry Sanges przybyły z wiecznym Karolem Finoia i z Rochem Marzolla, nauczycielem gry na harfie, który się kochał w Gaetanelli i był głuchy. W kół

ku tem panowała wielka ciekawość, co też być może w garnku. Plekroć przechodził jakiś znajomy, panny chwytały go za rękę, pytając się o sekret. Czy to prawda, co mówią, że nagroda dla pań składa się z bransoletki złotej i wielu pięknych upominków? Czy to prawda, że dla mężczyzn jest szlafmyca i różne podarki humorystyczne dla reszty towarzystwa? Kto będzie zawiązywał oczy paniom? Fryderyk Pietraroia, ten błazen, który życie spędza, przechodząc od De Pasquale do tej Casale i udając zakochanego? Kto zawiąże oczy mężczyznom?

Geltomina Santoro, ta kokietka, żeby nie powiedzieć gorzej?

Będą się ładne rzeczy działy.

Dreszcz oczekiwania przebiegał dusze wszystkich kobiet, starych i młodych, niecierpliwość była wielka.

Pan Józef Froio z pięknym uśmiechem na twarzy, wspomnieniem dawnych interesów lichwiarskich, przeszedł sale, powtarzając słodko:

— Panie i panienki, idziemy tłuc garnek!

Ofiarował ramię pani Klementynie De Camillis, margrabinie Latiano, starej, dumnej i skrzywionej. Wszyscy ją szanowali i nazywali krótko *margrabiną*, jakby oprócz niej, nie było innej na świecie. Nadaowało to cechę arystokratyczną salonom pana Józefa.

W głównej sali rozstawiono krzesła parami, ale nikt nie myślał o flircie, miłostkach, potajemnych uściskach rąk. Dziewczęta były roztargnione, pały chęcią zdobycia sławetnej bransoletki.

Fryderyk Pietraroia i Mimi Falabella, *factotum* pani Franciszki, wnieśli wielką brunatną wazę. Udawali, że nie mogą jej udźwignąć. Przebiegł szmer:

— Ciężka, ciężka, ciężka!

Gelsomina Santoro czekała z różową jedwabną chusteczką w jednej i kijem od szczotki w drugiej

ręce. Najpierw zawiązała oczy gospodarzowi. Okręcono go parę razy w kółko, podano kij i postawiono w kierunku do garnka.

— Pilnuj się, panie Józefiel!

— Uderzaj pan na prawo!

— Uważnie, uważnie!

— Ostrożnie, panie Józefiel!

Pomacawszy trochę posadzkę, ujął oburącz kij i machnął z całej siły, ale nie trafił. Urwał tylko ucho od garnka.

Wybuchnęły śmiechy, oklaski, komentarze. Kobiety szczególnie były podniecone. Mimi Falabella, drugi gospodarz domu, pozwalał sobie długo zawiązywać oczy, a siostry Sanges krzyczały wszystkie razem:

— Widzi, widzi!

— Mocno pan uderzaj!

— Raz, dwa, trzy.

Ale Falabella, wiedząc snadź, co garnek zawiera, chybił umyślnie. Lepiej znieść śmiech, niż skutki nagrody. I mężczyźni następowali jeden po drugim, schylając głowę pod białe i delikatne rączki Gelsominy. Stojąc w kole, niektórzy wahali się, namyślali, oryentowali i uderzali o trzy mile, pośród chichotów zebrania. Inni decydowali się nagle i, uderzywszy z rozmachem w próżnię, zrywali chustkę z głowy, jakby chcąc czempredzej zobaczyć szczątki wazy.

Wesołość wzrastała, pani Franciszka trzymała się za boki. Gelsomina zawiązała oczy garbusowi. Była chwila ciszy. Nie myśląc, nie czekając, jednym prędkim ruchem, garbus rozbił wazę.

Głośne „hura!” powitało jego zwycięstwo.

Uśmiechnięty, rozpromieniony, wyjął nagrodę. Składały ją: czapeczka nocna, tabakierka papierowa i laska błazeńska.

Garbus odważnie przywdział czapkę, wziął kij

i tabakierkę i roznosił panom inne podarki. Były to drobne cukierki, kasztany, sakiewki, pełne czekoladek. Wszyscy się śmieli i jednogłośnie oklaskiwali pomysłość gospodarstwa. Niktby lepiej tego nie potrafił urządzić! Trzeba było dwóch miesięcy na przygotowanie tych niespodzianek.

Concettella Sanges, rozpłomieniona, chciała się za wszelką cenę przyczepić do garbusa, ale on się odwrócił. Zrobił wybór jeszcze w karnawale. Concettella musiała poprzestać na przypadkowym niby dotknięciu ręką garbu: i to dobra przepowiednia.

Przyniesiono garnek dla pań. Fryderyk i Mimi nieśli go w górze, jakby był leciutki. Panny wystąpiły naprzód, pozerając go wzrokiem, jakby mieścił w sobie szczęście całego życia.

— Pusty, pusty — przekomarzali się mężczyźni.

Wszystkie marzyły o bransoletce złotej z szafirem podobno, nie, ze szmaragdem, i drżały, że któraś z poprzedniczek może rozbić garnek.

Pierwszą była margrabina, zła na Fryderyka, że jej za mocno oczy zawiązał. Macała kijem i omało nie rozbiła głowy Mimi. Cofnęła się na miejsce, robiąc minę osoby obrażonej osobiście.

Nie udało się i pani Franciszce, ale ona umyślnie, jako gospodyni domu, nie chciała zwyciężyć, a miała lekko oczy zawiązane, utrzymywały siostry Sanges.

Pierwsza siostra Fusco uderzyła w wazę, ale za słabo. Posypały się żarty:

— Tu trzeba sił, wielkich sił!

— Garnek musi być z żelaza!

Nie udało się i drugiej, ani Emmie Froggio, która chybiła skutkiem obcasu, i niezadowolona, wróciła, kulejąc na miejsce.

Katarzyna Borrelli prosiła, aby nie ścisnąć chustki. Ma tak krótki wzrok, że dość zabrać jej binokle,



aby nie nie widziała. Poczem machnęła z całej siły w próżnię i złamała kij na dwoje.

Pani Franciszka kazała przynieść inny.

Garnek, ocalony do tej pory, stał się przyczyną poważnych sprzeczek. Siostry Sanges nacierały z prentensyami na Fryderyka. Jedna wołała, że jej oko wybił, druga, że wyrwał pęk włosów, trzecia, że się udusi pod chustką, bo ma zwyczaj oddychać nosem. Wszystkie krzyczały, że byłyby zwyciężyły, gdyby nie zła wola Fryderyka, który miał swoje protegowane.

Spór się zaostrzał, Karol Finoia i Roch Mazzolla musieli się wmieszać.

Pozostała nakoniec Anusia Casale i siostry De Pasquale.

Zawiązując chusteczkę Anusi, Fryderyk szepnął jej coś na ucho, ale nie dosłyszała, uderzyła na lewo i złamała poręcz krzesła. Fryderyk uczynił giest zniechęcenia, ale siostry Sanges go pilnowały.

Nareszcie ostatnia podeszła młodsza De Pasquale. Udało mu się mruknąć wyraźnie:

— Panno Ido, na prawo...

Garnek pękł i rozpadł się na dwoje. Mężczyźni przyklasnęli. Ida, prawie tańcząc z radości, wyjęła nagrodę, pakiecik w białym papierze. Zawierał srebrną branzoletkę z napisem *pamiątka*, ładną ale bardzo taną.

Oprócz niej, były upominki dla reszty pań, zapieczętowane tajemniczo, a więc: wachlarze papierowe, portmonetki z imitowanej skóry, aksamitne poduszeczki do igieł, jajeczka drewniane, rzeźbione, zawierające naparstki, i t. d.

Wszystko to w zachwytyt wprawiało dziewczęta. Ida De Pasquale wdzięcznym ruchem pokazywała wszystkim łup swój. Znajdowano, że jest prześliczny, i panny wzdychały do niego, choć tak niewielką miał cenę.

Siostry Sanges szemrały. Wprawdzie każda z nich coś dostała: jedna spinki, druga kalendarzyk, trzecia pudełko z proszkiem do zębów, czwarta perfumy, piąta obrazek, ale cóż z tego? Czy to kpiny? Przecież wszyscy widzieli, że Fryderyk szepnął coś Idzie. A Ida naumyślnie dała im same wybierki. Co to za sposób traktowania ludzi?

Ale na wszystkie podniesione głosy wpłynął uspokajająco olbrzymi kosz ciastek domowej roboty i wino, również swojego wyrobu, które w tej chwili wniesiono.

Po pokrzepieniu ducha rozpoczęły się gry towarzyskie najrozmaitsze, od poważnego *klucza* do hałaśliwego *poczty* z szalonym końcem: *pociąg leci do domu dyabła*.

---

## V.

Wybuch Wezuwiuszu zaczął się dwudziestego drugiego kwietnia 1872 go roku, o pierwszej po południu.

Był to grzmot głuchy, podziemny, ale bezustanny, do którego przyłączyło się niemilknące brzęczenie szyb.

Dzień był prześliczny. Neapolitańczycy zbierali się na wszystkich ulicach, z kąd widać było Wezuwiusz. Nad wulkanem wisiął długi i lekki obłok biały, w formie sosny, zabarwiony na różowo przy kraterze. Nic więcej nie można było zobaczyć.

Ale grzmot nie ustawał i wszystkie domy Neapolu zdawały się drzeć w posadach.

Dyrektor Szkoły Normalnej wszedł do drugiej klasy, gdzie była Anusia Casale i Katarzyna Borrelli, i oznajmił, że z powodu okoliczności wyjątkowych

uczelnia zamyka się dziś o dwie godziny wcześniej. Przed bramą skupiło się sto osmdziesiąt dziewcząt, ogłupionych temi nagłemi czasami. Spotkały grupę studentów, wracających z uniwersytetu, gdzie również wykłady zawieszono.

W kościele Opieki Matki Boskiej ksiądz prze-rwał kazanie, zalecił kobietom, między którymi znajdowały się i siostry Sanges, modlitwę podczas wybuchów wulkanów i trzęsień ziemi, i odesłał wszystkie do domu.

W pracowni kwiatów sztucznych, należącej do pani Malagrida, powstała trwoga. Jedna z dziewcząt miała matkę we wsi Sant'Anastasia, pod samym Wezuwiuszem. Zaczęła płakać, krzyczeć, szaleć; niepodobna było utrzymać reszty pracownic w spokoju. Pani Malagrida wróciła rozstrojona do mieszkania.

W półmroku teatru San Ferdinando siostry De Pasquale odbywały próbę sztuki z Fryderykiem Pictra-roia, Janem Laterzą i innymi amatorami. Sala pełna była przyjaciół i znajomych. Ale zaledwie grzmot się odezwał, połowa publiczności wybiegła. Dziewczęta przelekły się, próbę przerwano.

U matki Maryi Joviere byli właśnie goście, a między innymi, piękne siostry Altifreda. Nadeszły Galanti, zaczęto żartować na temat wybuchów.

Opowiadano o lawie, o deszczu popiołów, zajądając lody. Ale pomału rozmowa upadła, wszyscy nadstawiali ucha. Brzęk szyb drażnił nerwy kaleki. Towarzystwo zaczęło się rozchodzić; usiłowano żartować, ale się nie udawało. Każdy pragnął być w domu. Gdy wszyscy odeszli, Marya położyła się do łóżka i schowała głowę w poduszki, żeby nie słyszeć drżenia zastawy stołowej.

Wszystkich wogóle ogarnęła nagła chęć powrotu do domu. Na ulicy wymieniano przelotne ukłony, lub parę słów krótkich i żegnano się śpiesznie, jakby

każdego powoływała jakaś ważna sprawa. Urzędy i biura opustoszały.

Dzień włókł się wolno. Dopiero z nadejściem nocy można było osądzić postępy wybuchu. Dwa nowe otwory ukazały się, wsie Cescola i Sant'Anastasia zginęły. Były i ofiary, które dzień wprzódy chciały wejść na Wezuwiusz.

Szeptano, że do szpitala przywieziono mnóstwo ciał, strasznie uszkodzonych. Niektórzy żyli jeszcze, dogorywając w mękach. Dzwonek u bramy szpitalnej nie przestawał dzwięczeć.

Wieczorem cały Neapol wyległ na ulice. Trzy wielkie strumienie lawy, rozmiarów niebywałych, wylewały się z paszczy krateru. Pierwszy kierował się w stronę przeciwną, grożąc wsi Ottaiano; gorzał złowrogo na ramionach góry. Drugi sptywał do morza. Trzeci, szeroki, wspaniały, kierował się, niby olbrzymia rzeka ognia, ku Resinie, Portici, Neapolowi.

Białe obłok rozpierzchł się zupełnie. Czyste, gwiaździste niebo miało odblask różowy. Spokojne morze Firreńskie z zatokami płonęło. I wśród tych trzech pożarów: góry, nieba i morza, cisza zupełna, ani szmeru wietrzyka, ani szumu fali. Tylko łono ziemi nie przestawało drżeć głucho.

Pomiędzy tłumem stały siostry Sanges, wpatrując się, jak urzeczzone, we wspaniały widok. Wstrząsały się dreszczem, ilekroć w tłumie przebiegała niezmienna zwrotka.

— Trzecia lawa grozi Neapolowi.

Napróżno Karol i Roch usiłowali je odciągnąć. Napróżno wspólnym wysiłkiem portmonetek ofiarowali kawiarnię. Nie chciały się ruszyć, zapomniawszy nawet zwykłych kłótni.

Krażyły pogłoski, że ofiarami byli: piękna pani, doktor, para narzeczonych, kilku studentów, kilku

mieszczan i dwóch przewodników. Nazwiska? Nazwisk nie znano, dzienniki jeszcze nie wyszły.

Anna Casale i Katarzyna, uzbrojone w lornetki, śledziły postępy zniszczenia. Katarzyna deklamowała półgłosem ustępy z *Ostatnich dni Pompei* Bulwera Lyttona, ale w duszy czuła niepokój. Powtarzano uprzejmie dokoła:

— Trzecia lawa grozi Neapolowi.

Na balkonie bogatego stryja, z kądem widać było Wezuwiusz, zebrała się rodzina Malagrida, rodzice i córka z narzeczonym, Arturem. Przyszli, jak na dziwowisko, ale wspaniałość widoku i bliskość niebezpieczeństwa zmroziła nawet tych tłustych i szczęśliwych ludzi.

Eugenia ścisnęła konwulsyjnie rękę narzeczonego, a on ją uspokajał szeptem. Niebezpieczeństwa niema, a zresztą, on jest przy niej, on, który ją kocha oddawna, od pierwszej chwili poznaania.

Tłuszciocha, której nikt jeszcze takich rzeczy nie mówił, drżała ze wzruszenia. Twarz jej płonęła, jakby już czuła na niej płomień lawy. I nie słyszała szepców, krążących między starszymi:

— Trzecia lawa zagraża Neapolowi. Dobrzeby było wystawić San Gennaro.

Na wielkim balkonie hotelu Rzymskiego tłoczyła się publiczność. Pomysłowy właściciel skorzystał z reklamy, jaką mu wulkan zrobił, i wpuszczał za biletami. Jeden z wielbicieli zapłacił wejście i teraz siostry De Pasquale siedziały na krzesłach, ale nie miały ochoty do żartów i flirtu.

Napróżno mężczyźni to śmieli się, to dawali objaśnienia naukowe. Nie słuchali, białe jak kreda pod warstwą pudru. Naraz, gdy dokoła mówiono o tej olbrzymiej trzeciej lawie, idącej zwolna, lecz nieubłagane ku Neapolowi, Ida wykrzyknęła:

— Dlaczego nie wystawiają San Gennaro?

Muzykalne Fusco, Eliza Costa, Gelsomina Santoro zebrały się u nauczyciela śpiewu. Ale okna wychodziły na zatokę, z kąd widać było wylew lawy. Głosy zamierały w gardłach, nie mogły śpiewać.

Fusco miały krewną w Resinie. Costa żałowała tego biednego pana Józefa Froio, któremu lawa zniszczyła wszystkie winnice. Był blady, wzruszony, a pani Franciszka płakała głośno. Gelsomiua, słysząc, że Neapol jest w niebezpieczeństwie, dopytywała się wszystkich:

— Ale dlaczego nie wystawiają relikwi Sa<sup>n</sup> Gennaro?

Panny Galanti wyciągnęły przemocą Maryę Jovinę, która miała konwulsje w domu. Zaprowadziły ją do oberży *Washington*, przekładając, że w każdym razie nie zaszkodzi zobaczyć, starając się ją uspokoić. Pani Jowine zapewniała, że jeśli będzie niebezpieczeństwo, pojedą do Rzymu, do Florencyi. Nie są to przecież czasy Pompei, można się ratować ucieczką. Ale kaleka opuszczała głowę, drżąc, ze strachana.

I panny Galanti były wzruszone. Wybierały się gdzieś na wieś. Nie ze strachu bynajmniej, ale tak, dla rozrywki. Neapol wcale nie jest zajmujący teraz, z temi górami, ziejącemi ogniem.

I tak były pogrążone, że zapomniały przypiąć łatkę pannom Altifreda, które zwolna objeżdżały powozem widoki Wezuwiusza.

W oknie Hanusia Manetta dręczyła się niepokojem, bo jej narzeczony Wincenty nie wracał. Henryka Caputo cały dzień była drżąc, a kiedy przeczytała gazetę wieczorną, upadła z krzykiem zemdłona. Matka i Ciccillo De Marco encili ją, a garbus, przeczytawszy listę ofiar, poblądł, lecz jednocześnie pomyślał, że teraz Henryka zostanie jego żoną przez

wdzięczność. On to bowiem odradził jej wycieczkę na Wezuwiusz.

A w eleganckiej willi Posilipo zakochana para, Peppino Sarnelli i najstarsza z bogatych Cafaro, trzymali się za ręce, spokojnie patrząc na lawę, bo nie nie zdoła rozłączyć kochających się serc.

. . . . .

Gazeta wieczorna podała pierwszą listę ofiar:

Wincenty Spano, student medycyny.

Tomasz Wanacore, przewodnik.

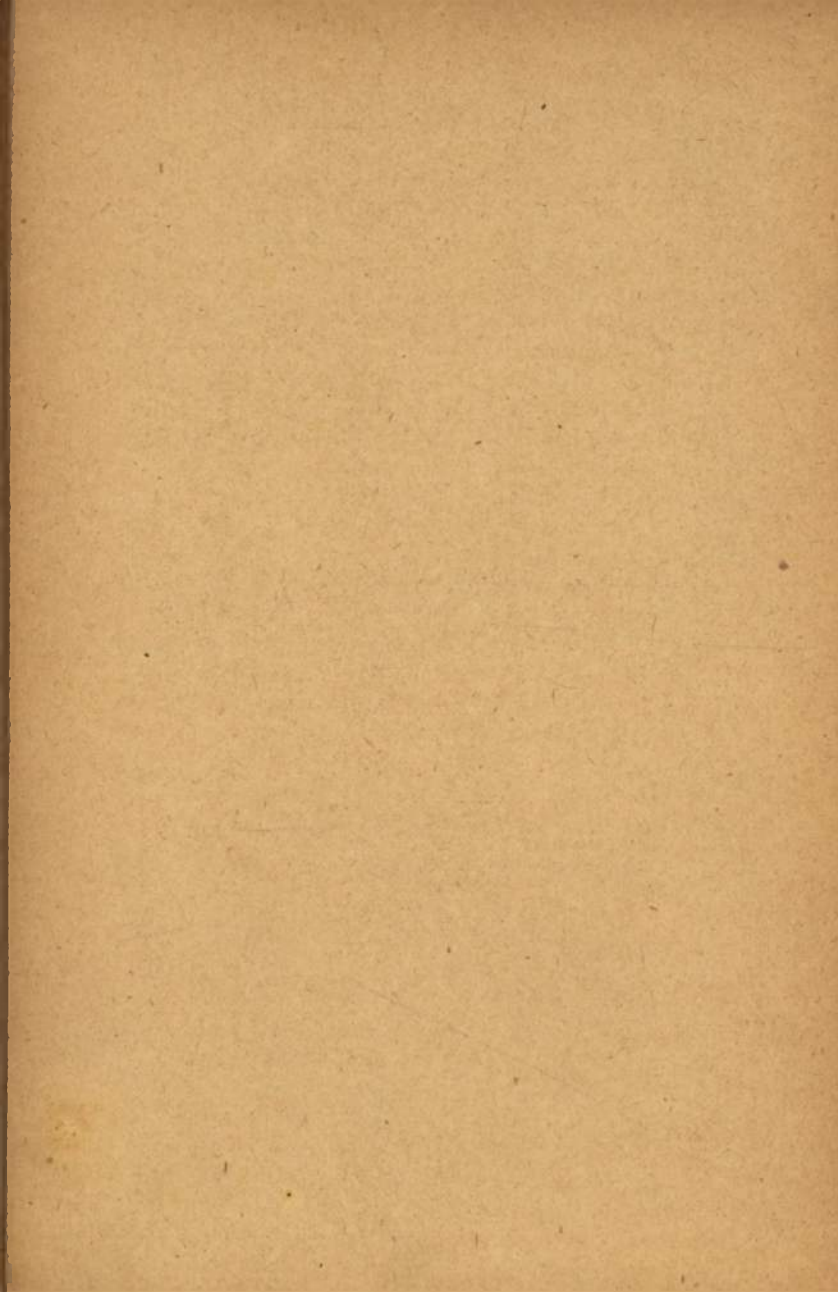
Wit Castelforte, lat 24, znaleziono ciało, obejmujące narzeczoną.

Małgorzata Fusco, lat 18, jak wyżej.

(Jedno widać umarło, nie chcąc opuścić drugiego).

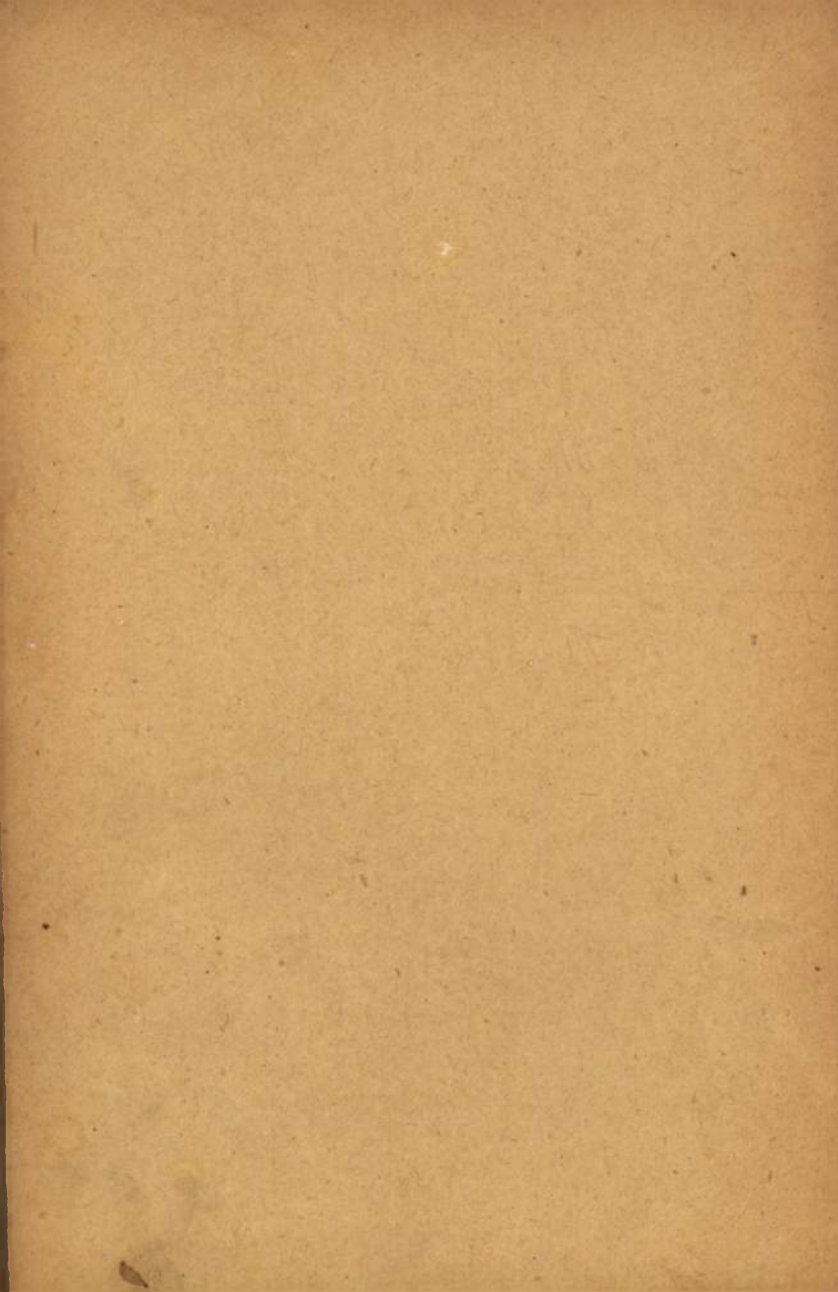
Elwira Brown Castelforte, lat 25. Poszła dalej od wszystkich, i nie znaleziono ciała, tylko grudkę stopionego złota. Prawdopodobnie pokryta lawą.

---





**NIGDY JUŻ!**



## I.

Plac targowy przepelniony był ludźmi. Tłum tłoczył się nietylko w jego czworoboku, ale rozlewał się wzdłuż alei Garibaldiego, ku amfiteatrowi i ku trybunałowi, na wszystkich balkonach i tarasach.

Nie sami mieszkańcy osady Santa Maria wyroili się z domów w ten dzień sierpniowy, aby wziąć udział w wielkiej uroczystości ogni sztucznych na cześć Wniebowstąpienia Matki Boskiej. Ze wszystkich miast i wsi okolicznych przybyło mnóstwo ciekawych lub pobożnych. Na ulicach snuła się ludność sfer niższych. Na uiluminowanych balkonach arystokracja i burżuazja miejscowa czyniła honory domu przyjezdnym.

Na tarasie klubu wojskowego, pomiędzy sznurem latarek chińskich, Jerzy Lamarra, piękny, jasnowłosy porucznik artylerji, przedmiot westchnień wszystkich romansowych panien, rozmawiał z gronem kolegów z Nizy.

Z balkonu ciotki jego Klementyna Riccio, melancholijna brunetka, nie spuszczała z niego oka. Na balkonie bratowej jego, Paulina Gasbarra, żywa i wesoła osóbką, śmiała się na cały głos, aby on ją usłyszał. Na jednym z pięciu balkonów młodziutkiej mężatki, Rosiny Sticco, Grazia Orlando, najpiękniejsza

panna w mieście, udawała, że rozmawia z kuzynką z Neapolu, Katarzyną Borrelli, lecz w rzeczywistości nie mogła oderwać spojrzeń od Jerzego.

Na wielkim balkonie córki syndyka, panny Roccatagliata, rozmawiały z trzema pannami Capitella, córkami syndyka z Caserty, które przyjechały z ojcem i bratem, narzeczonym Krystyny Roccatagliata. Małżeństwo to wszystkim jej rówieśniczkom wydawało się bardzo rozsądnem; starsze panny, między niemi Emma Demartino, mówiły, że to niema sensu, bo Krystyna jest za młoda.

Wszystkie te panny, również jak Clelia Mesolella i Felicetta de Clemente, miały znaczne posagi, to też balkon syndyka był przedmiotem wielu marzeń, męzkich i żeńskich.

I balkon margrabiego Tarcagnota przedstawiał trzy wielkie sumy pieniędzy w osobie córek jego, pannen, kształconych w pierwszorzędnym zakładzie w Neapolu. Były one jednak tak niemożliwie i coraz bardziej tłuste, że się z nich wysmiewano ogólnie.

Wieczoru dzisiejszego pyszniły się obecnością starej księżnej di San Demetrio. Balkon ich rzeszście był oświetlony, a w świetle tem ukazywał się to wielki, niby spuchnięty policzek, to olbrzymie ramię, to potworna figura.

Ale największy ruch był na pięciu balkonach młodej mężatki. Rozina, najstarsza z siedmiu sióstr Astianese, wyszła przed tygodniem za Wincentego Sticco, jednego z najbogatszych kawalerów w okolicy. Ze słuszną dumą podejmowała dziś gości po raz pierwszy. Nosila wielkie brylanty, podarunek męża, dzwoniła dziesięciu branzoletami i była zadowolona z siebie, z salonu złotego z czerwonym, z sypialni białej i niebieskiej. Pokazywała wszystkim ten przepych, nie ukrywając swego szczęścia.

Balkon był napełniony kobietami. Najpierw

sześć sióstr gospodyni. Blondynki, brunetki, rude, we wszystkich gustach, kręciły się, jakby ich było dwanaście, i strzelały oczami. Każda miała wielbi ciela na placu lub na jakimś balkonie. Potem Gra zia i Marya Orlando z Katarzyną Borrelli; potem Lu kreya Piccirillo Sticco, bratowa Rosiny; potem Lu dwika Ciecarella, najbrzydsza w mieście, ogłupiona tą swoją brzydota, z ustami zawsze w pół otwartemi; po tem Carmela Barbaro z Kalabrii, brunetka, paląca papierosy i małowówna; nakoniec, najserdeczniejsza przyjaciółka Rosiny, Emma Demartino, miła dziewczyna o tęsknych oczach.

W miarę jak napływali goście, Rosina wzywała ze słodyczą młodego małżonka:

— Wiciu, Wicuniu!...

Dziewczęta oglądały ciekawie całe mieszkanie, z zagadkowemi uśmiezkami, leciutko zakłopotane tem otoczeniem małżeńskim, które było urzeczywistnieniem ich marzeń. Nie było wprawdzie sześciu młodzińców takich, jak Wincenty, ale pozostałe siostry nie traciły nadziei, że wyjdą za mąż jeszcze lepiej.

Grazia Orlando myślała o swoim oficerze, stokroć piękniejszym od Wincentego. Siostra jej, nie taka marzycielka, kombinowała, że Ciccillo Mosca, który codzień spacerował pod jej oknem, to wcale niezła partya.

Katarzyna Borrelli, za młoda jeszcze, przybierała już miny niedbałe i zarozumiałe, właściwe dziewczętom neapolitańskim, które udają pogardę dla małżeństwa.

Ludwika Ciccarella próbowała materyi, czy jedwabna; przyglądała się koronkom, aby je naśladować szydełkiem i czytała bilety wizytowe.

Emma Demartino chodziła wszędzie za Rosiną, i ilekroć ta słodkim i harmonijnym głosem pytała:

— Gdzie jest Wicus?

Emma uczuwała dziwne wzruszenie.

Naraz wielka jasność oblała klub wojskowy. Zapalono ognie bengalskie. Fantastyczne światło czerwone opromieniło Jerzego Lamarra. Klementyna z balkonu powiewała chustką; Paulina Gasbarra wołała „brawol brawol” nie mogąc się uspokoić, a Grazia Orlando drżała ze wzruszenia na widok swego ideału w tych czerwonych blaskach, niby Faust, czy Mefistofeles.

Na widok światła otworzyły się zamknięte okna domu Crocco'ów. Dwie siostry Crocco ukazały złe twarze starych panien, poszukujących wciąż męża. Obok nich wierne przyjaciółki, dwie Caputo, ubrane modą z przed lat piętnastu, śmiały się, znosząc pogodnie swoją czterdziestkę.

Nakoniec pojawiła się donna Irena Moscarella, panna przedhistoryczna, ani zła, ani wesola, zastygła w apatii swego życia.

Emma Demartino siedziała zamysłona na balkonie. Z dwóch stron grały dwie orkiestry: to marsza królewskiego, to hymn Garibaldiego. Ona myślała. Była szczęśliwa bardzo ze szczęścia Rosiny, ale gdyby Karolek Scoppa, student prawa w Neapolu, nie był się obciął na dwóch egzaminach, ona wyszłaby zamąż wpraw od Roziny. Teraz Karolek był w Neapolu, przygotowując się do powtórnego zdawania. Może przyszedł sierpnie zastanie ich już małżonkami. Jaka szkoda, cały rok tak stracić! Ona ma już dwadzieścia pięć lat. Czyniło ją to zamysłoną i jakby rozgoryczoną. Była blada, przekwitła, a Rosina, jej rówieśniczka, promieniała urodą i weselem. Z wdziękiem częstowała gości winem i słodyczami, popisując się pięknem srebrem, szkłem cienkiem. Wszystko od Wicusia! Gdyby Karolek lepiej zdał egzamina, ona by teraz częstowała cukierkami... I nie chciała już

jeść łakoci, które jej przyniosła Rosina. Wielka melancholia opadła jej na serce.

Widowisko rozpoczęło się wreszcie. Zabłyśły ognie trójkolorowe, fajerwerki, race. Tłum klaskał. Fale ludzi przelewały się przez plac.

Emma wzruszyła ramionami i usiłowała strząsnąć smutek z siebie.

W gruncie rzeczy nie jest przecież jeszcze najnieszczęśliwszą.

Te Astianese mają, co prawda, posag, ale jest ich sześć: chłopcy się tego lękają. Trzy zakochane w Jerzym, to gęsi: nie ożeni się z żadną, bo ma już podobno narzeczoną we Florencyi; bałamuci je tylko. Panny Capitella są bardzo bogate, ale właśnie dlatego nikt nie śmie starać się o nie. I najmłodsza Roccatagliata źle robi, wychodząc zamaż przed starszemi siostrami. Na prowincyi bardzo na to zważają. Taccagnota znów są za tłuste, a Ludwika Ciccarelli za brzydka i za głupia.

Race strzelały ku niebu, rozwijały się, niby kwiaty i opadały na ziemię deszczem gwiazd różnobarwnych. Pomimo ciepłego wieczoru, zachwyconych okrzyków tłumu, wesołości przepelniającej serca młodzieży na balkonach, Emma pogrążała się w morze goryczy. Życie jej i jej podobnych wydawało się długą drogą bez powabu i celu.

W złotem świetle ogni sztucznych dwa okna domu Crocco prezentowały całą galerję starych pańien.

Gospodynie wychylały upomadowane głowy, aby dojrzeć, czy rzeczywiście w sali jadalnej Taccagnota'ów nakrywano do paradnej kolacyi. Dwie Caputo, długie, płaskie, zawiędłe, zachwycały się, po raz czterdziesty co najmniej w życiu, uroczystością obchodu Wniebowstąpienia.

Donna Irena Moscarella, z rzadkim włosem,

przyglądnym na skroni, z twarzą obojętną i bez wyrazu, wyglądała jak osoba umarła dla wszelkich rzeczy ludzkich.

Emma patrzyła na te kobiety poprzez złocisty deszcz i wydały się jej nagle objawieniem przyszłości.

Wszystkie jej przyjaciółki taki sam może los czeka.

Jednej może umrze narzeczony, jak Klarze Caputo, na dwa dni przed ślubem. Druga będzie zdradzona, jak Marietta Caputo. Inna zostanie starą panną przez skąpstwo ojca, tak jak Małgorzata Croces. Jeszcze inna nie wyjdzie zamąż przez nagły wybuch mistycyzmu, jak to się zdarzyło Vincenzelli Crocco. A jeszcze inna, kto wie, może ona, Emma, zestarzeje się w panieństwie nie wiadomo dlaczego, przez kaprys losu, tak jak donna Irena Moscarella.

I już widziała siebie starą, z rzadkim włosom na skroni, z twarzą zastygłą w egoizmie strupieszalnym i dalekim od wszelkiego ziemskiego.

Po głośnych okłaskach na placu zapanowała cisza. Zaczęła się ostatnia część uroczystości.

W głębi stał olbrzymi łuk tryumfalny z kolorowym napisem „Viva Maria”, ubrany kwiatami, lampionami, strzelający mnóstwem rac. Gdy już cały był oświetlony, zaczęła się podnosić z ziemi statua Matki Boskiej.

Podnosiła się wolno. Ubrana była w różową tunikę, błękitny płaszcz i uśmiechała się, żegnając ziemię. Dzwony wszystkich kościołów biły społem. Lud klękał, wydając głośnie okrzyki na cześć Wniebowziętej.

— Pod Twoją obronę...—szeptała Emma na balkonie.—Pod Twoją obronę... ja i tamte...



## II.

Chora podniosła głowę i oparła się na stosie haftowanych bogato poduszek.

Dwie białe, bezkrwiste ręce jej leżały na szafrowej jedwabnej kołdrze. Miała kaftanik batystowy z koronkami; na ciemnych, sfalowanych włosach ładny czepeczek, na palcach, szyi i w uszach wielkie perły. Mówiła mało, blada, ale uśmiechnięta błogo. Co pewien czas przymykała oczy, jak do snu.

Od rana dom był pełen gości. Wizyty, powinszowania, pytania i odpowiedzi oszołomiły ją zupełnie. O drugiej nareszcie ucałowała małego, którego zabierano do chrztu, i wszyscy udali się do katedry. Odpoczywała teraz.

Przy łóżku jej siedziała Emma, mówiąc półgłosem.

Nie chciała iść do kościoła.

— Rosi, dlaczego dałaś mu na imię Gaetano?

— Tak chciał Wicusz — odparła chora z gestem świadczącym, że niema już co mówić o tem.

— To brzydkie imię.

— Brzydkie, ale dziecko ładne.

— Wszystkie twoje dzieci są ładne — szepnęła

Emma.

— Ten jest najładniejszy — odparła matka z promiennym uśmiechem.

— Kiedy będziesz miała piąte, powiesz, że to najładniejsze.

— Tak — zgodziła się spokojnie.

Zapanowało milczenie.

Ciemne oczy Emmy powlekała jeszcze większa tęsknota. Błada twarz zaczynała już żółknąć niepostrzeżenie.

— Czy twoja siostra Janina nie przyjechała? — spytała po chwili.

— Nie; biedaczka, teściowa jej zachorowała. Marya przysłała mi depeszę, a Kostusia list.

— Kostusia ma dwoje dzieci?

— Dwoje.

— A Marya?

— Jedno. Janina tak samo.

— A ty czworo. Matka wasza jest już osiem razy babką.

— Ale jeszcze pozostają trzy córki niezamężne. Nie myślę o Olimpii i Teresie, ale Assunta mnie niepokoi. Ma już dwadzieścia osiem lat...

Lekki rumieniec powlekł twarz Emmy.

— Cóż z tego? — szepnęła. — Czy koniecznie trzeba wyjść zamaż!

— Nie mów tak, droga. Najgorsze małżeństwo lepsze jest jeszcze od żadnego.

— Dlaczego?

— Dla dzieci—odparła poważnie i słodko szczęśliwa matka.

Oczy Emmy przysłoniły się łzami.

— Dzieci... dzieci... Co zrobisz ze swemi ładnymi dziećmi?

— Nie wiem, kocham je... są takie maleńkie. Ale Wiciuś ma ogromnie dumne projekty.

— Mówicie zawsze o dzieciach z sobą?

— Zawsze.

— A przyszłość ma urok dla ciebie?

— Nie myślę o swojej, myślę o ich przyszłości.

— To prawda—dodała Emma.

Zamilkły znów.

— Jak oni się spóźniają—szepnęła Rosina.—Powinni być z powrotem.

— Matką chrzestną jest Grazia?

— Tak, Grazia z mężem.

— Pamiętam, jak ona szalała za Jerzym Ia-

marzą? Naraz wyleczyła się i wyszła za adwokata Santangelo.

— Dobrze zrobiła. Po co się kochać w takim szalaławile?

— I Klementyna Ricco się pocieszyła... wyszła za kuzyna. Piękna stałość.

— Te długie miłości do niczego nie prowadzą.

— Jeśli się kocha, nie zważa się na czas.

— Z Wicusiem pobraliśmy się po sześciu miesiącach miłości.

— Ale Wicus był tylko jeden, twój...

Wielka litość wezbrała w sercu chorej. Ale nie zdążyła powiedzieć jakiegoś ciepłego słówka Emmie. Weszła Katarzyna Tarcagnota, z męża Savarese, olbrzymia w czarnej sukni jedwabnej.

I naraz wykrzyknęła z westchnieniem:

— Ach, droga pani Sticco, jednemu za dużo, drugiemu nic!

— Masz pani jeszcze czas, kochana baronowo.

— Gdybyż tak było! Ale nie mam nadziei. Wszystko zależy od budowy.

— Tak mówią, ale kto to może wiedzieć? Roccatagliata taka chuda, a też niema dzieci.

Podczas rozmowy wchodziły inne panie. Usiadły kołem przy łóżku i przyciszonym głosem rozmawiały o dzieciach, o wypadkach ciężkich i dziwnych, o chirurgach i mamkach.

Wszystkie dopytywały się zainteresowane, jak poszło u Rosiny. Ona opowiadała w krótkich słowach, a słuchaczki kiwały głowami i jedna po drugiej wtrącała jakiś wypadek z własnego życia.

Jedyna panna w tem gronie, Emma, słuchała w milczeniu.

Ta macierzyńskość płynąca w słowach, w uśmiechach, w spojrzaniach, ta fala niezmiernej miłości prze-

nikąła ją do głębi duszy. Pod wrażeniem tego twarz jej stawała się woskowa, a oczy coraz smutniejsze.

Z ulicy wpadał głuchy turkot pojazdów. Naraz zabrzączał dzwonek. Twarz chorej zmieniła się. W przedpokoju rozlegały się głosy sług i domowników:

— Powrócił! Powrócił! Niech cię Święty Patron błogosławi! Rośnij zdrowol

Mały człowieczek zbliżał się, niesiony uroczyście przez Grazię Santangelo Orlando. Zwieszała się długa jego suknia, haftowana i ubrana koronkami. Na poduszce spoczywała główka o różowej buzi, w strojnym czepeczku. Rozwarte oczki miały poważne spojrzenie nowonarodzonych. Maleńka rączka poruszała lekko palcami.

Grazia we wspaniałej sukni, sprowadzonej umyślnie z Neapolu, w klejnotach, postępowała uroczyście, z godnością. Za nią szedł szczęśliwy ojciec, mąż jej i cała procesya starych ciotek, pani Astianese z trzema niezamężnymi jeszcze córkami, wreszcie starsze dzieci Rosiny: Emma, Ferdynand i Karolek.

Grazia podała chorej dziecko, mówiąc drżącym trochę głosem:

— Kumo moja, przynoszę ci małego chrześcijanina.

Mała przycisnęła małego chrześcijanina do piersi i całowała długo. Cisza, pełna uroczystości i namaszczenia, panowała w pokoju. Grazia podała kumie swej podarunek: bransoletkę z pereł i szmaragdów. Mąż jej złożył na łóżku futerał z czerwonej skóry, zawierający nakrycie i kubek srebrny, dar ojca chrzestnego dla dziecka. Obie kobiety ucałowały się, potem Grazia wzięła chrześniaka i obnosiła go do koła.

Podążyła najpierw ojcu, który zaledwie dotknął jego policzków, bojąc się, żeby go nie zadrasnąć wą-

sami. Potem babce, ciotkom, wszystkim paniom. Całowano go leciutko, delikatnie, aby nie płakał; nazywano najśłodszymi imionami, jakie umie wynaleźć serce kobiece. Matka śledziła dziecko wzrokiem, z wdzięcznością przyjmując każdy objaw czułości dla niego.

Tomasz, służący, obnosił wino i słodycze. Podawano żartami cukierki nowonarodzonemu, który nie tracił ani na chwilę poważnej miny. Ojciec chrzestny chciał mu koniecznie dać wina, ażeby, jak mówił przyzwyczaił się zawczasu.

Nakoniec wbiegły dzieci. Grazia usiadła z małym, a one okrążyły braciszka i wspiąwszy się na palce, oglądały go w milczeniu pełnem ciekawości. Emma, kokietka, pocałowała go; Ferdynand położył rękę obok niego na poduszce, a Karolek podał mu palec, i maleńka rączka zacisnęła się wokoło tego palca.

.....  
 .....

Zmrok wieczorny opadał na pokój. Nie było już nikogo.

Chora, zmęczona, leżała z przymkniętymi oczyma. Naraz odwróciła się, poszukała ręką koło siebie i słabym, słodczy pełnym głosem, zawołała:

— Gaetanino... Gaetani!...

Maleńki patrzył na mamę żywemi oczkami. Ale za franką odezwało się stłumione łkanie. Emma Demartino płakała.

## III.

Zmierzyła doświadczenem okiem pończochę i widząc, że już dostatecznie długa, zaczęła liczyć oczka, i gubić je, aby robota się zwężyła.

Naraz, w spokojnem milczeniu ciepłego południa letniego rozległ się delikatny świst. Emma podniosła oczy i poprzez pręciki zielonej rolety zobaczyła Fryderyka Mastrocola w jego zwykłej pozie kręcącego niecierpliwie czarny wąsik.

Spuściła głowę i znów zajęła się robotą.

Na bladej jej twarzy czas wyrzył wielkie zmiany. Oczy straciły blask i wyraz tęsknoty, która nadawała im tyle uroku. Pod powiekami zwieszały się worki żółtawe. Wargi z czerwonych stały się różowe, z różowych fioletowe. Uczesanie nie mogło zakryć rzadkości włosów. Ręce były jeszcze ładne, ale pocięte tu i owdzie zmarszczkami; kibić wysmukła, ale już oznaki starości widniały w pewnem zgarbieniu, w układzie całej postaci. Starość wyzierała nawet z jej pantofli, czarnych i miękich, które stąpały bez szelestu.

Gwizdka Fryderyka odezwała się znów zcicha. Odpowiedziało mu chrząkanie i na ganku Chiariny Oliver ukazała się jasnowłosa osóбка o szafirowych oczach, cała oblana słońcem. Była to Emma Sticco, nazywana powszechnie Mimi dla swej milutkiej urody.

W głębi siedziała Chiarina, zajęta szydełkową robotą i udająca, że nic nie widzi i nie słyszy, co robi jej przyjaciółka. Obok przylegał ogród sióstr Tarcagnote, ale obie tłuściochy wyszły zamaż do Neapolu i okna były szczelnie zamknięte. Zostawał balkon Emmy Demartino, lecz zielona roleta nie podnosiła się nigdy i nie widać było jej właścicielki. I zakochani, ośmieleni tą ciszą południa, przekomarzali się coraz swobodniej.

— Dlaczego nie byłeś na mszy dziś rano?—zapytała blondyneczka, usiłując przybrać groźną minę, gdy oczy jej błyszczały miłością.

— Musiałem odprowadzić na stację ciotki Caputo.

— Odjechały?

— Tak, są już w klasztorze.

— I ja chcę wstąpić do klasztoru!—wykrzyknęła, śmiejąc się.

— Poczekaj, Mimi, aż będziesz miała sześćdziesiąt lat i pies się o ciebie nie zatroszczy.

Ręce Emmy Demartino zawisły przez chwilę nieruchomo nad drutami. Potem zimną ręką przetarła zimne ciało, jakby chcąc rozpedzić chmurę...

— Po powrocie ze stacyi gdzie byłeś?—zaczęła znów straszna inkwizytorka.

— Szukałem cię na placu.

— Nie prawda.

— Zapewniam cię.

— Kłamiesz.

— Zapytaj Ludwika Ciccarelli i jej męża. Byłem z nimi.

— Zapytam. Widziałam Ludwikę na mszy, miała czerwony kapelusz, była w nim żółta, obrzydliwa!

— Obrzydliwa, ale kapelusz był zielony, a jej twarz w nim bronzowa!—wykrzyknął zakochany z tryumfem, nie dawszy się wciągnąć w pułapkę.

Mimi zaśmiała się. Zaśmiała się też półgłosem Chiarina Oliwer.

Ale za zieloną firanką żaden uśmiech nie wykwił na fiołkowych wargach Emmy. Liczyła wciąż oczka, słuchając tej rozmowy dziś, jak jej słuchała codziennie, od dwóch miesięcy, pod kwitnącemi granatami ogrodów.

— Mimi, z kim byłaś na Mszy?

— Z mamą i z ciotką Lukrecją.

— Czy to prawda, że chcą, abyś wyszła za Antoniego Piccirillo?

— Modliłam się do Świętej Emmy, ażeby tego nie dopuściła.

— Czy ona cię wysłucha?

— Miejmy nadzieję — szepnęła blondynka, składając ręczki.

— Miejmy nadzieję — powtórzył Fryderyk, zamysłając się nagle.

Za roletą stara panna patrzyła na oczka swej pociechy, ale ich nie widziała. Drut zadrasnął ją po twarzy, wystąpiła pręga, lecz ani jedna kropla krwi nie ukazała się na tej anemicznej skórze.

Słuchając słów dwojga zakochanych, schylała głowę pod tłumem wspomnień i pogrzebanych nadziei.

— Czy tylko istnieje Święta Emma? — zapytał Fryderyk, pyszniąc się niedowiarstwem.

— Jesteś heretyk — zauważyła poważnie Mimi.

— W kalendarzu jej niema.

— Zajrzyj do kalendarza francuskiego, przeczytaj historię męczenniczek.

— Jeśli niema świętej, wyświęcimy cię, Mimi.

— Zapewne, za cierpliwość, którą mam z tobą.

Sielanka przechodziła w dramat. Blondyneczka była rozzłoszczoną, że Fryderyk niema na włos powagi, żartuje ze wszystkiego, nie można wcale z nim mówić.

Fryderyk, gniewny, obrywał tynk z murów i rzucał na jaszczurki w ogrodzie.

Chiarina musiała się wmieszać. Codzień, o pewnej godzinie, musiała godzić zakochanych.

— Co panu zawiniły jaszczurki? — spytała ze śmiechem.

— Nic; ta Mimi to szatan! — mruknął.

— Dobrze, drogi Fryderyku, porzuć mnie!



- Porzucę.
- Poszukaj sobie innej.
- Poszukam.

— Szkoda, że ciotka Assunta wyszła w zeszłym roku za starego kancelistę. Byłaby to właściwa żona dla ciebie!

— Masz słuszność. Ale napiszę do panny Małgorzaty Crocco.

— Sprowadź je obie, Małgorzatę i Wincentynę. Mają razem piętnaście sysięcy dukatów i sto pięćdziesiąt lat!

— To właśnie mi się podoba!

Odwrócili się od siebie. Chłopiec zapalił papierosa.

Emma Demartino patrzyła przez pręty zasłony. Czy nie tak, niegdyś, przed laty, sprzeczali się z Karolkiem? Ręce opadły wzdłuż sukni, robota osunęła się na ziemię, kłębek potoczył po posadzce. Kot, stary i tłusty, spał spokojnie, nie racząc igrać z kłębkami.

— Mimi!—zawołał Fryderyk.

Żadnej odpowiedzi.

— Mimi, nie kapryś, wiesz przecie, że cię kocham.

— Pst!—odparła, kładąc paluszek na ustach.

— Dlaczego?

— Mógłby ktoś ułyszeć.

— Cóż znów! Wszyscy drzemią teraz.

— Jeśli mama się dowie, że ja tu spotykam cię codziennie, nie puści mnie do Chiariny i zamknie w pokoju.

— O Boże, co zrobimy!

— Umrzemy—odparła tragicznie dziewczeczka.

— Cóż znów!

— Napewno. Zobaczysz, że umrę na suchoty, jeśli mi nie pozwolą wyjść za ciebie.

— Nie mów tak, to mi przykrość sprawia.

Spojrzeni na siebie ze smutkiem, a byli tak młodzi, zdrowi i piękni, że Chiarina Oliver zaczęła się śmiać, jak szalona.

— Dlaczego twoja mama taka niedobra?

— Mama jest dobra, ale mówi, że jesteśmy za młodzi, że ty nie masz powagi, że trzeba czekać.

— Mam już dwadzieścia cztery lata. Zestarcjemy się na tem czekaniu.

— A ja szesnaście. Mama chce widać, żebym została starą panną.

— Czy i ona nie miała kiedyś lat szesnastu, ona, blada kobieta za oknem?... Czy i ona nie wierzyła wtedy, że młodość nie skończy się nigdy?

— Pójdiesz na ślub Maryi Orlando?—zapytała Mimi.

— Jak każesz.

— Przyjdź, my też będziemy. Ciotka Grazia przedstawi cię mamie, postaraj się podobać, tylko nie błażnuj, bądź poważny.

— Mogę umizgać się do ciotki Grazii?

— O nie, mój panie, co to, to nie!

— A do ciotki Olimpii? Taka sympatyczna!

— Także nie, panie ladaco!

— Co będę robił tedy? Z kim rozmawiać, żebyś nie była zazdrosna? Przysiądę się do twojej matki chrzestnej. Ta już dość stara!

— Cicho!—rzekła blondynka, spoglądając w okno.

Ale matka chrzestna nie poruszyła się, nie dała znaku życia, czucia, że ją dotknęło okrucieństwo zakochanych.

Czyż sama nie była okrutna, wtedy, w czasach szczęścia, minionych, niepowrotnych.

— Co mam mówić do mamy, żeby jej sprawić przyjemność?

— Mów o dzieciach, o niczem innym nie zechce słuchać.

— Będę mówił o tobie. Powiem, że cię kocham.

— Nie rób głupstw. Mów o chłopcach.

— Którego najbardziej kocha?

— Wszystkich.

— Czy nie Gaetanina?

— Nie, nie, wszystkich jednakowo. Mów jej o Ferdynandzie, który jest w szkole wojskowej w Neapolu i dostał „cyfrę królewską;” o Karolku, który jest najładniejszy ze wszystkich...

— Ty jesteś najładniejsza...

— Nie przerywać. Powinszuj, że Gaetanino tak cudownie wyleczył się z ospy, powiedz, że Piotruś i Pawełek są bardzo mili. Pamiętaj zawsze, że ona myśli tylko o nas, kocha tylko nas.

— A ojca?

— Kobiety, mające dzieci, nie kochają mężów— odparła uroczyście dziewczeczka.

— I ty tak samo uczynisz?

— Tak samo.

— To ja wolę nie mieć dzieci.

— Nie odrywaj się z tem przed mamą.

Emma Demartino wyjęła różaniec machinalnie i zaczęła go odmawiać, aby nie słyszeć rozmowy. Była to modlitwa bez gorliwości i bez duszy. Nie miała o co prosić ani dla siebie, ani dla innych. Przez stare przyzwyczajenie tylko do każdego „Ojciec nasz” dorzucała: „Wieczny odpoczynek,” odkąd Karolek Scoppa umarł na cholere w Neapolu. Ta modlitwa, prosząca o spokój dla biednego nieboszczyka, który spoczął w grobie bezimiennym, bez kwiatów, bez kamienia mogilnego, napelniała ją smutkiem przepaścistym. Nie kochał jej, nie, został w Neapolu, ożenił się z inną. Emma została starą panną, nie

wiadomo jak i dlaczego. Nie miała teraz już żalu w sercu, była tylko pełna smutku, jakby wszystko oddalało się od niej.

W tej chwili z poblizkiego kościoła odezwały się dzwony żałobne.

— Kto umarł?—zapytała Mimi.

Emma nastawiła ucha.

— Donna Irena Moscarella—odparł Fryderyk.— Miała dziewięćdziesiąt, czy sto dwadzieścia lat. Kto teraz zajmie jej miejsce?

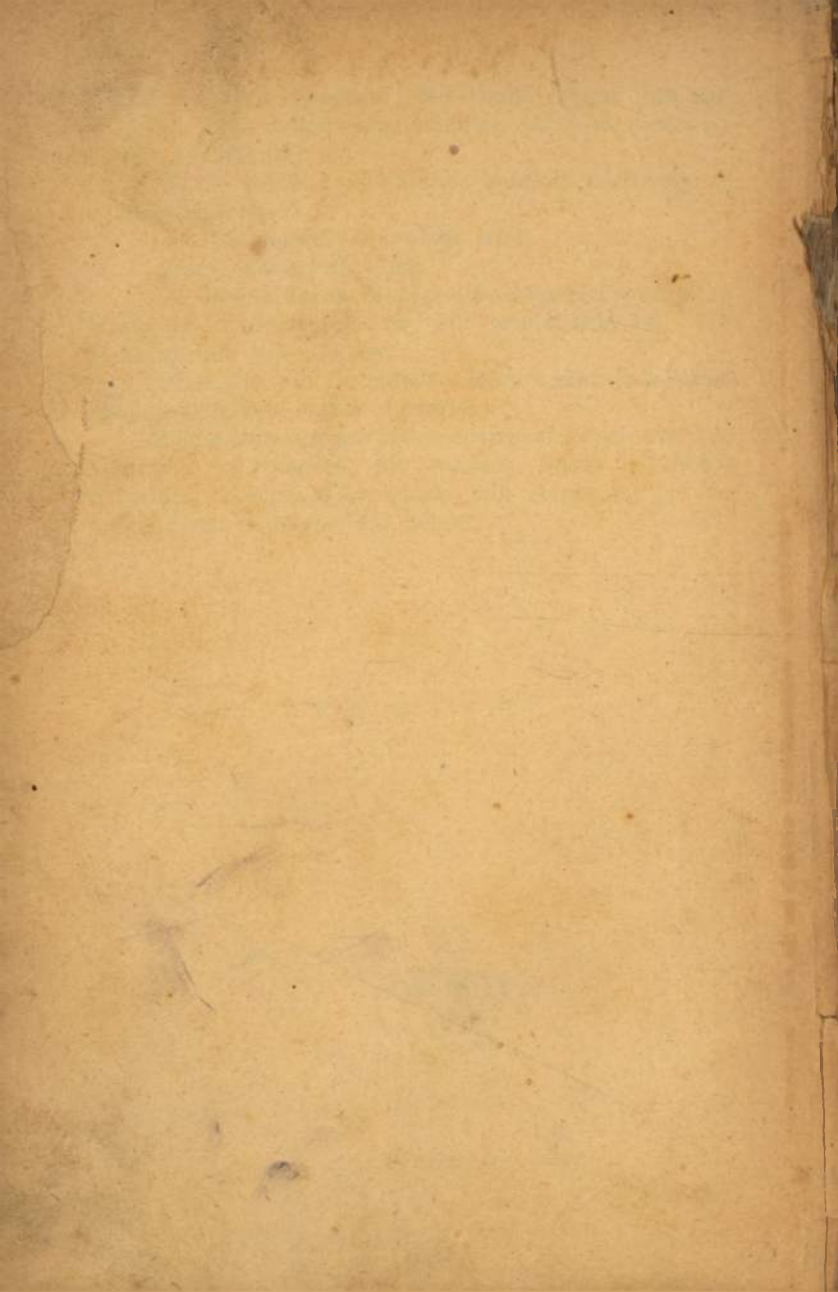
Złośliwie, nic nie mówiąc, Mimi wskazała z uśmiechem na balkon matki chrzestnej.

Emma widziała wszystko: spojrzenie, gest, uśmiech. Uderzyły ją w serce, nie raniąc. Dusza jej nieruchomiąta. Żadna rzecz ludzka nie mogła jej już dosięgnąć ani nadzieją, ani bólem.

K O N I E C.

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUDWIN







Biblioteka Uniwersytetu  
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A20741

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1000171921